

Wilczyński Albert

KAPRYS PANNY JULII

KOMEDYA

Jesteśmy w pokoju przyszłej naszej bohaterki, panny Julii. Podłoga zasłana dywanem, meble wytwornej roboty, również obiciem dywanowem pokryte; wygodna ottomanka z jednej strony, przed nią stolik założony elegancko oprawnymi książkami, rycinami w albumach i bez albumów. Z drugiej strony również mała kozetka, obok niej coś niby*biórko, niby stoliczek do robót kobiecych, kilkanaście zgrabnych fotelików— wspaniały balansoar z jednej tafli zwierciadła, kominiek z pysznej roboty zegarem i porcelanowemi figurkami, na oknach pełno kwiatów ocienionych zieloną jedwabną firanką—słowem całość urządzenia pokoju oznacza zamożność i dobry gust właścicielki.

Godzina jedenasta przed południem. W saloniku zastajemy nachyloną nad stołem młodą, bo zaledwie siedmnaście lat mającą panienkę—to właśnie panna Julia, siostrzenica starego pułkownika, sierota bez ojca i matki, wychowana jego staraniem, pod opieką dawnej bony, a obecnie ochmistrzyni, która znana jest w domu i okolicy pod nazwiskiem cioci Jadwigi. Panna Julia jest sobie śliczną, drobnych i figlarnych rysów blondyneczką; gęsto ułożone nad czołem loczki, za każdym ruchem głowy nadbiegają na oczy, a wesoła panienska nieustannie odgarnia je zgrabną rączką. Usta różowe z dołeczkami po bokach, wiecznie prawie ułożone do uśmiechu, oczy ciemne zielonko wato-mieniące się koloru, bystre, zalotne nawet, rzucają w jednej chwili to żartobliwe, to rozdąsane spojrzenia—słowem z pierwszego rzutu oka odgadniesz czytelniku, że masz przed sobą szczęśliwe, rozpieszczone, na swobodzie wychowane dziewczątko, któremu nigdy nic się nie odmawia, a które pomimo tego musi mieć najlepsze serduszko,

— Przyznam się — myślała sobie panienska, przerzucając dzienniki ostatnich mód paryskich— że wujcio zadługo siedzi w Karlsbadzie; przywiózł nas tutaj ze wsi i zostawił same... Ach, prawda, nie same... jest mój narzeczony, Seweryn... tylko ten Seweryn w dziwny sposób dba o nasze przyjemności... Wodzi nas po muzeach, galeryach, bibliotekach... Uczony... Wykłada mi botanikę w ogrodzie, objaśnia naturę i obyczaje zwierząt w gabinecie zoologicznym, wczoraj wyciągnął powietrze z pod jakiegoś dzwonu... Biedna ptaszyna zginęła... mój Boże, tak mi jej żal było!... Wszystko to są bardzo, o bardzo zajmujące rzeczy, panie Sewerynie, nawet mądre, potrzebne, ale jabym wolała pójść na operę do teatru, przejechać się po parku Łazienkowskim, a nawet pokazać się w ogrodzie Saskim... Wczoraj na przykład przechodząc koło jednego ze sklepów, widziałam śliczny kapelusik w wystawie sklepowej. Co to za

kapelusz!-.. Bałam się wstąpić... Ten Seweryn taki poważny... "Wstydzę się sama przed sobą, ale gdy o& męczył tego ptaszka pod kloszem, mnie ten szafirowy kapelusik stał przed oczami... Ot, taki sam, jak tu na rycinie...

— Ale coś nie widać mojego mentora — dodaje spoglądając ku oknu...—właśnie, że idzie, idzie już, muszę go dziś rozruszać, och! muszę, i namówię, abyśmy wstąpili do tego sklepu...

Jakoż niedługo otwierają się drzwi salonu, i wchodzi cokolwiek sztywnie, młody, lat dwudziestu kilku mężczyzna. Brunet, z mocnym zarostem twarzy, wyniosłem czołem, więcej zakrawa na poważnie myślącego młodziana, aniżeli po jego wieku i wytwornem ubraniu spodziewać się można. Właśnie jest to pan Seweryn, obywatel wiejski, narzeczony naszej bohaterki.

— Dzień dobry, mojej drogiej Juleczce, jakże dziś humor pani?—pyta, trzymając obie jej rączki i patrząc jak w tęczę w jej błyszczące oczy.

— Troszeczkę kwaśny, jestem czegoś roznerwo- wana czy rozdrażniona...

— Być może znudziły cię wczorajsze wycieczki, a szkoda, miałem na dzisiaj wyborne projekta.

— A i ja też mam swoje projekta—odpowiedziała filuternie dziewczyna.

— Słucham miłych rozkazów!

— Otóż pójdz ze mną do stolika i powiedz, jak ci się podoba ten szafirowy kapelusz? Prawda, że oryginalny, niby motylek ze skrzydłami do lotu. Wczoraj przechodząc koło magazynu widziałam taki sam z karkadą ciemniejszego koloru. Sewerynie, nie śmiej się

ze mnie, ale mnie się nadzwyczaj podobał, musimy kupić ten kapelusz.

— Moja piękna pasterko—odpowiada dość obojętnie Seweryn—może on jest arcy-piękny, cóż, kiedy ja się na tem nic a nic nie znam.

— Mój kochany panie narzeczony, proszę mi nie robić takiej miny poważnej... No, no, Sewerynie, nie bądź takim sensatem. Pójdźże tu na środek pokoju ze mną, ot tak, wykręć młynka, tylko żywo—to mówiąc wyciąga go z ottomanki, obraca, patrzy w oczy.—Spojrzyj na mnie, ja jestem żywe srebro... No, proszę cię jeszcze raz, porzuć senatorską minę. Tak, oczy na mnie prosto, wesoło, śmiać mi się zaraz... No, więcej, nie tak z przymusu. Jak wuja kocham, przecież warta jestem większych nieco względów. Czym nie ładna?

— Piękniejsza od najpiękniejszych — odpowiada Seweryn patrząc jej w oczy.

— Ach! mój drogi, mówisz to takim tonem, jak się mówi do Walentego: „podaj mi kapelusz”. Zlituj się, ja tak nie chcę. Ja chcę w tobie życia, miłości, uwielbienia, poświęcenia! Ja chcę, żebyś siedział tu u moich nóg — a pociągnąwszy narzeczonego ku otomance, sadowi go na małym stołeczku przy sobie. Ot tak, żebyś patrzył się w moje oczy jak w tęczę, prosto, mój panie, prosto, i mówił: Julio, królowo moja, aniele mój, ja cię kocham, kocham, kocham...

—' Czyż o tem wątpisz, droga Julio? — zapytał młodzieniec siedząc w tak wymuszonej pozycji.

— Mogę wątpić, jeżeli mi tego dość często nie będziesz przypominał. Mój drogi Sewerynie, my kobiety lubimy te drobnostki, chcemy być ciągle kochane, chwalone, czczone...

— Ależ, kochana Juleczko, wszak całe życie tak nie można; my żeniąc się powinniśmy wiedzieć, że nie wszystko będzie różami usłane.

— No, to też ja się nie upieram koniecznie przy różach: niech to będą lewkonie, fiołki, gwoździki... a nawet zielona rezeda...

— A gdyby i tam kolce się znalazły?

•— Sewerynie!—krzyknie dziewczyna zrywając się z kanapki i wybiegając na środek pokoju. Ja nie życzę sobie kolców! Nie, nie — mówi jakby przestraszona — otrzepując ręce. Czuję, że mię już kłują...

— Sewerynie, jeżeli mię prawdziwie kochasz, nie mów mi nigdy o kolcach...

— Ależ to codzienna strawa życia powszedniego...

— Właśnie ja się boję tego powszedniego życia, właśnie, panie narzeczone, ja pragnę życia nadzwyczajnego. Miałabym też po co iść za mąż? Zabawy, podróże, piękne salony, wytworne i miłe towarzystwo, życie, życie... wesele...

— A obowiązek? — zapyta nieco zamyślony młodzieniec z gorzkim uśmiechem.

— Mój Sewerynie — rzecze dąsając się panienka, powiem ci, że nudny jesteś ze swoimi obowiązkami. U was dziś w ustach tylko dwa hasła: praca i obowiązek, obowiązek i praca, moi panowie! A gdzie przyjemności, co? Czyż ludzie tak bogaci, jak my będziemy, potrzebują pracować?

— Julio droga, nie mów tak — odpowiada Seweryn biorąc ją za obie ręce. Znam twoje zacne i gorące serce, ty znasz moje zasady, i to co mówisz uważam za żarty. Dlatego proszę cię, nie łudź się fantastyczną przyszłością, bobyś się potem boleśnie rozczarować mu

siała. Minął czas francuzkich bohaterów romansowych; dziś jesteśmy ludźmi pracy i ofiary... i te właśnie stanowią przyjemności życia...

— Panie—mówi zwolna dziewczyna robiąc wielkie oczy i wysuwając zwolna z rąk jego swe rączki— pierwszy raz słyszę te dziwne teorie, które mają być jego zasadami!...

— Julio — rzeknie prędko Seweryn zbliżając się do niej—więc dla ciebie mam już być panem? Błagam cię, powiedz, że to pomyłka!...

— Może i nie pomyłka, panie Sewerynie — odpowiada więcej seryo. Przed stanowczą deklaracją innym pan byłeś dla mnie. Darujesz, ale ton twojej mowy zakrawa na panowanie; przepraszam pana, trochę to za- wcześniej...

— Bo znam świat i ludzi, bo nie chcę cię zwodzie.

— Może zostałeś profesorem w jakim kolegium, co? powiedz—pyta żywiej — na miłość boską powiedz... Och! pewnie będzie profesorem...

— Nie,—odpowiada Seweryn—dotąd nie, ale gdyby nawet...

— Nie chcę, nie chcę — przerywa trzepiąc w powietrzu rękami. Zlituj się Sewerynie, przysięgnij mi tu zaraz, przysięgnij!

— Ale zapewniam cię, rozmowa nasza nie miała żadnego ztem związku. Kocham cię— mówi szukając znowu jej ręki. Juleczko, kocham cię tyle, że lękam się o twoją przyszłość, bo radbym cię widzieć tyle szczęśliwą, tyle...

— Zapewne poważną jak stara matrona — odpo* wiada z żalem już zagniewana panienka. Ja dziękuję za szczęście w pracy; w farbowanej sukni, z igłą w ręku

i fartuchem przed sobą. Uniżenie dziękuję za takie szczęście. Jeżeli myślisz mi na tej drodze zgotować przyszłość, to się mylisz, panie profesorze! Mówiłam ci i powtarzam raz jeszcze; ja chcę żyć jak ptaszek na swobodzie, jak kwiatek woniejący wśród wesela, rozkoszy, z dnia na dzień...

— A ja znowu inne dla nas marzyłem szczęście — przerywa westchnąwszy głośno Seweryn.

To westchnienie widocznie obraziło Julię, bo siada już obojętna na kanapce i bierze znowu ryciny do ręki.

— Bardzom też rada — rzecze powoli ■ — iż się wcześniej dowiadujesz, że na tym punkcie się rozchodzimy.

— Mnie znowu niewymownie przykro, że Julia zrozumieć mnie nie chce — mówi cokolwiek zmięszany Seweryn. Jestem człowiekiem prawym, jeżeli cię Kocham, i dlatego że Kocham szczerze, chciałbym abyś pojęła życie jako surowe...

— A ja trochę podgotowane — wtrąca chowając ręce, które chciał uścisnąć Seweryn. "Wybornie, panie Sewerynie, wybornie! Miñałeś się z przeznaczeniem! Tobie rzeczywiście więcej przystoi toga profesorska, lub biret kaznodziei, niż żona wesoła, jak iskra żywa, roztrzepana...

— Jak uważam—mówi wstając Seweryn—humor pani w szczególnie wesołych warunkach...

— A pana zaprawiony szczególnie ciężkim kwasem... nic więc dziwnego, że przy takim kontraście...

— Jestem tu zbyt czystym!—dodaje z goryczą Seweryn.

— Tak dalece nie.. — odpowiada bawiąc się ryci

nią Julia—choć innym pragnęłabym widzieć mojego narzeczonego.

— A ja nigdy nie goniłem za cackiem — przemówił z powagą, i rezygnacją narzeczoney. Zbyt wysoko stawiam kobiety, abym ich miłość cenił tak lekko,...

Rozmowa zaczęła już przybierać drażliwy charakter, bo widzimy jak obrażona panienka zerwała się szybko z siedzenia, mówiąc z przekąsem:

— Darujesz pan, że schodzimy do roli sprzeczących się, gdzie położenie moje zaczyna być przedmiotem zarzutów. Zbyt mało mam dla siebie pobłażania, lecz wiem i to, że coś więcej warta niż cacko, do którego mnie pan chcesz porównać. Dla ludzi tyle poważnych, zajętych wyższą polityką, tak rozumnych, postępowych, filantropów i tym podobnych, zapewne że jestem cackiem i dlatego...

— Nie kończ, Julio, na miłość Boską, przestań!— woła przerażony młodzieniec, chwytając ją za rękę. Twoja mowa szydercza kraje mi serce, Julio...

W tej chwili z sąsiednich drzwi prawej strony pokazuje się wesoła postać rumianej i dobrodusznej staruszki. Jestto dawna niania panny Julii, dzisiaj jej towarzyszką i ochmistrzyni, przeznaczona do tej roli przez opiekuna i wuja naszej heroiny, pułkownika Osińskiego. Panna Julia nazywa ją ciocią, bo podobno jest daleką jej krewną po ojcu. Staruszka zarządza gospodarstwem domowym, i w tej chwili właśnie powraca z kuchni w stroju cokolwiek zaniedbanym, opasana białym fartuszkami po samą szyję.

— Matko miłosierdzia, co tu się dzieje!— woła załamując ręce.

Lecz młodzi zbyt żywo zajęci byli poprzednio opisaną rozmową, aby mogli usłyszeć wykrzyknik i lekki chód po dywanie staruszki.

— Dlatego, mój panie — rzecze w dalszym ciągu panna Julia z powagą—to cacko nie chce mu przeszkadzać w jego wysokich poglądach na życie człowieka...

— Czy to ma być na ser jo?—pyta Seweryn.

— Zdaje mi się, że jestem przy zdrowych zmysłach...

Ciocia wciąż stoi przerażona na jednym miejscu i kiwa głową chrząkając, w nadziei że ją spostrzeżę...

— Jakto? Julio, zastanów się nad tem co mówisz!...

— Alboż jestem nieprzytomna! Cha! cha! cha! wyborny pan jesteś! Cacko już plecie bez sensu, a pan Seweryn raczy taką malutką Julcię—mówi ze śmiechem przymuszonym, pokazując ręką wysokość małego dziecka—przywoływać do porządku... Ależ to tak jak w sejmie... Panie —dodaje kłaniając się z etykietą— sądzę— że powiedziałam wszystko...

— Więc to jest pani ostatnie słowo?

— Za pozwoleniem! — woła wbiegając pomiędzy nich staruszka— ostatnie słowo nie może być bezemnie. Ja tu nie byłam, bo nie mogłam. Nie moja wina, że Katarzynie popękały pęcherze od kompotów; sam pułkownik mię uniewinni, nie mogłam...

— Eh, moja ciociu—przerywa z niechęcią Julia— ty zawsze masz jakieś kłopoty...

— Och, zapewniam cię, moja gołąbko, że nie, zawiązałam sama... Tylko że nie słyszałam coście mówili przed ostatnim słowem... to chciałabym żebyście powtórzyli... No i cóż, śmiejesz się, Juleczko? Moje dzie

ci, nie róbcie mi na złość... No, no, gołąbko! Pułkownik nigdyby mi tego nie darował. — Zaczniście od początku, jak to było?

To mówiąc starowina siada sobie przy stolczku, kładzie okulary przed sobą, ocierając rześisty pot z czoła.

— Więc żegnam panią—przemówił Seweryn kłaniając się uroczyście—obecność moja jest tu zbyteczną...

— Ale, panie Sewerynie!—rzecze staruszka, gdy zapłoniona panienka biega szybko po pokoju nie zdając się uważać na jego słowa. Jakto? od tegoś zaczął przyszedłszy do narzeczonej. Za moich czasów, panie, nie tak zaczynali; ale: padam do nóżek, lub ścielę się do ślicznych stopek mojej panienki, lub: słońce moje, wyglądasz dzisiaj tak ślicznie jak Aurora...

— Moja ciociu—rzecze Julia z goryczą—te czasy już się nie wrócą. Dziś się mówi: „panna jesteś dziecinną, pleciesz sama nie wiesz co, jesteś jak cacko...”

— A to nie ładnie! a to nie szarmancko, panie Sewerynie, trzeba przeprosić... Wiedz pan—mówi dalej wkładając okulary—że wy mężczyźni, jesteście tylko mężczyźni... my co innego znowu, kobiety naprzykład...

— Jestem przedmiotem żartów panny Julii —rzecze z boleścią Seweryn—i jak mię to boli, nie mogę, nie mam siły w tej chwili wypowiedzieć. Żegnam zatem panią, panno Julio... Żegnam. Niech ci Bóg da lepsze szczęście niż ja ci go zapewnić mogłem, ale pamiętaj— dodaje prawie ze łzami w oczach — że nikt w świecie lepiej i goręcej kochać cię nie potrafi. To, czego szukasz... nie łatwo dziś znajdziesz, ludzie są innymi na świecie, niż bohaterowie z romansów pani Sand.

— Życzę mu nawzajem — przerywa z ironią kłaniając się panienka —abyś w przyszłej towarzyszce zna-

laź kobietę z głową, panie Sewerynie, kobietę, któraby cię godnie zrozumieć mogła. A ja już sama pomyszę o swojej przyszłości. Uwalniam pańskie serce od troski

0 mnie, życzę...

Seweryn jak szalony wybiegł z pokoju.

— Na Boga, panie Sewerynie... Panie Sewerynie! — woła biegnąc za nim staruszka... — Nie ma! — mówi wracając do salonu. — O! ja nieszczęśliwa, co ja też napiszę pułkownikowi! Julko, coście też narobili! Tyłkom wyszła do kuchni...

— Jestem zdradzona, jestem w rozpacz! — woła biegnąc po salonie panienska. — Żebym była mężczyzną, tobym sobie palnęła z rewolweru, tak... niechby się przekonał... Ależ tyle impertynency, mój Boże, tyle znieść niegodziwości!

— Julciu, gołąbko moja, uspokój się... zaszkożysz sobie...

— Moja ciociu, nie rozdrażniaj mię! — odpowiada z furją dziewczyna, pozrucawszy wszystkie papiery ze stolika na dywan. • — Nie bój się, nie pękne jak ten pęcherz w słoikach... Ach, gdyby mi mogło tak pęknać serce... ach, gdyby mogło...

— A niechże Najświętsza Panna od tego cię zachowa! • — mówi staruszka, chodząc za nią po pokoju i poprawiając nieustannie spadające z nosa okulary. — Ale nie rozrucajże papierów, fe, co to znowu...

— I ja mogłam kochać tego człowieka! Niegodziwy. Otóż podziękuję wujaszcowi za takiego narzeczonego! Nudziarz, pedant... ja życie pojmuje, życie surowo... ■ — wołała dalej, naśladowując głos mężki. — Zaczny, szlachetny, mówią wszyscy... Dla innych, dla innych może być jedynym, ale nie dla mnie. Fe! dreszcz

mię przejmuję na samą myśl, że ja miałabym żyć miesiąc, dwa, rok, dziesięć lat... ca...łe ży...cie z takim nudziarzem... Nie znam umiarkowania, nie chcę tego za- pleśniałego umiarkowania! Wszystko... lub nic!...

— No, no, Juleczko, uspokój się ■— rzecze z miłością do niej zbliżając się staruszka — pomówimy rozsądnie...

•— Jestem zgubiona, przygnieciona w rozpaczy!

•— To cóż ja na to nieszczęśliwa kobieta poradzę! Przeklęta ta Katarzyna, że mię ztąd wyprowadziła. Ale prawda znowu—r mówi, sadzając ją obok siebie—jak strzelały! buch, pęc, bęc... a tu fontanna ze śliwek tryska po całej kuchni; zmiłowanie boże...

— Radziłaś zawsze, kochana ciociu, radź teraz ■— mówi dziewczyna, kładąc swą głowę na jej ramieniu.

— To też mówię ci, jak krzyknę: „owinać sianem!”

— Kogo?—pyta ze zdziwionym spojrzeniem Julia.

— Ma się rozumieć słoiki z kompotami. Tu śliwek już niema na mieście, a coby pułkownik jadł na kolację?

— Jesteś, ciociu, bez serca! — krzyknęła panienska zrywając się z kanapy — kiedy mnie tu dusi, kiedy cała krew na twarz mi pryska, kiedy ja umieram... ty myślisz o kompotach...

<— No, moje dziecko, nie sądz, żeby ci nie poradziła i na to. Wszystko to przejdzie; mam ja stare moje doświadczenie... Albo kwiat pomarańczowy, albo waleryan... Niezawodnie przejdzie... No, no, moje ser- deńko, ustąpi...

— Ależ, ciociu, serce pai się rozdziera!

— Biegnę zaraz, biegnę... kwiat pomarańczowy zaraz ci ulży, moja gołąbko, ja znam twoją naturę... fi"

lizankę gorącego kwiatu. Och! mój Boże, jakie to nieszczęście — kończy już za drzwiami, z kądem jeszcze słyhać słowa: — Katarzyno, gorącej wody, prędko gorącej wody!...

— I to jest kobieta, którą mi pułkownik dał za towarzyszkę, za ochmistrzą — mówi do siebie półgłosem z ironią panienska. — Stary lód ze szczytów Alp. Ona mię kwiatem pomarańczowym częstuje, gdy tu w piersiach ogień! Och, zemszczę się, muszę się zemścić.. Uważa mię za dziecko i w proroczym natchnieniu zapewnia, że nie znajdę męża. Otóż, mój panie — dodaje, tupnąwszy nogą — znajdę! znajdę, ilu będę chciała! Wiem, nie jesteni brzydka, jestem bogata, jestem może trochę kapryśna, ale serce mam, serce mam kochające... Na złość temu pyszałkowi wezmę pierwszego lepszego i pokażę mu... Żeby się przynajmniej upokorzył... mógł paść na kolana... jedno słowo szczerego żalu, jeden promień serdecznego ciepła... Nie, nie... zimny, sztywny... żegnam panią... Poczekajże ty, ty...

Przerywa ten monolog, wbiegając z pięknym bukietem pokojówka panny Julii. Jest to również wesoła, przyjemnej powierzchowności subretka, a widocznie faworytka i zaufana swej pani, bo podaje bukiet w wesołych podskokach.

— Co to jest, od kogo?

— A od kogóżby, jak nie od pana Seweryna. Walenty jeszcze czeka w przedpokoju.

— Żarty sobie robi, czy co! — zawołała panienska, rzucając bukiet na ziemię, gdy część gazety, osłaniająca rękojeść bukietu, zostaje przy jej nogach. — Zabieraj to, Maryniu, wyrzuć... natychmiast wyrzuć... oddaj mu!...

— Ależ taki ładny, proszę panienki. Te kamelie jakby robione...

— Mówię ci, wyrzuć do przedpokoju... niech sobie zabierze!

Gdy Marynia, kiwając głową, idzie ku drzwiom z owym bukietem, panienka zawraca ją i każe zawołać służącego pana Seweryna. Za chwilę staje we drzwiach "Walenty, prawdziwy typ niedoszłego wachmistrza. Wąsy i broda i czupryna przystrzyżone po wojskowemu, postawa prosta, choć głupkowata, ubranie cywilne wprawdzie liberyjne, lecz krój zdradza mundur wojskowego.

•— Kto i kiedy kazał ci ten bukiet przynieść? —■ pyta rozkazująco Julia.

— Proszę łaski jasnie wielmożnej panienki — mówi, jękając się Walenty — na ten przykład...

— Ale mówże prędko, kto?

— Gdzie on potrafi, proszę panny — wtrąca Marynia—on musi swoje przykłady naprzód wypowiedzieć.

— Tylko aspanna nie strzelaj, na ten przykład, żeby ci amunicji nie zabrakło, jak Francuzom pod... — wybąknął Walenty, kierując mowę do pokojówki.

— Walenty, albo mów o co pytam, albo idź sobie z Panem Bogiem i z bukietem. No, mówisz czy nie? — pyta Julia, stając między nim a śmiejącą się pokojówką, która ulokowawszy się naprost zwierciadła, odbijającego niefortunną postać niedoszłego wojaka, podrzeźnia kiwaniem głowy jego zająkliwą rozmowę z panną Julią.

— Proszę łaski jasnej...

— Daj że mi pokój z jasną, a mów, kto ci kazał?

— On... mój pan—odpowiada nieprzytomnie, irytowany wizerunkiem pokojówki w zwierciadle.

— Taki jak i ty nieznośny — pomyślała zniecierpliwiona panienka. — Ale kiedy? pyta dalej.

— Poczekaj, ja ci na ten przykład odpłacę — szepce do Maryni widzianej w lustrze. ■—• To jeszcze wczoraj wieczór powiada mi, proszę jasnej panienki: Walenty, mój kochany Walenty, pójdziesz jutro rano, na ten przykład do tego tam, jak się to nazywa, tak coś zfrancuzka, niby ten marszałek francuzki, co to go Prusacy wzięli do niewoli... nie, nie... przepraszam, jeszcze wprzód...

— Do ogrodnika, nudziarzu, pewnie do ogrodnika — przerywa, chichocząc pokojówka.

— Właśnie że do ogrodnika, ale do którego? w tem sęk...

— Maryniu, nie przerywaj mu, bo do jutra nie skończy... No, zapewne do Bardeta.

— To to to, do Bardeta; a mnie się, z przeproszeniem jasnej panienki, zdawało, że do Boskieta. Te Francuzy...

— Więc wczoraj wieczór... — mówi Julia.

— Aby dziś rano... — dodaje Walenty.

— Przynieść ten bukiet.

— Tak, tak, jasna panienko. Ale jak się wyjdzie do miasta/a spotka się to z tym, to z tamtym kolegą z wojska, na ten przykład się zagada o wojskowych naszych rzeczach... to tego, z przeproszeniem jasnej panienki...

— I nie widziałeś potem pana Seweryna?

— Nie.

— Więc słuchaj... weź napowrót ten bukiet... rozumiesz?

— Rozumiem... i odnieś do Boskieta, bo brzydki.

— I spotkaj znowu — dodaje Marynia — tego z tym, tamtego z tamtym... potem naprzykładaj, naprzykładaj...

— Nie, nie — mówi dalej trochę uśmiechnięta Julia — oddaj swojemu panu i powiedz... albo poczekaj trochę, ja sama napiszę.

Panna wybiegła z pokoju, a Walenty pozwolił sobie wybuchnąć gniewem przeciw swawolnej subretce.

— Maryniu, Maryniu! pamiętaj, jak mię będziesz tak cenzurować, to cię porzucę na ten przykład...

— A porzucaj sobie, porzucaj — odpowiedziała, chichocząc dziewczyna — za jednego takiego jakaś dostanę dziesięciu bez przykładów: Cha, cha, cha! żebyś ty wiedział, jakiś ty śmieszny...

— A ty, moja kukułko, taka ładna! — rzecze rozbrojony Walenty, zbliżając się do pokojówki. — No, no, nie dąsaj się na ten przykład, a powiedz, co się tu stało?

— Grdzie? •— pyta zdziwiona Marynia.

— No tu, między naszymi... Ona odsyła bukiet, z przeproszeniem, a jego spotkałem na ten przykład jak leciał przez ulicę i machał rękami i machał... Ale ja myk w bramę...

— Ty, widać, Walenty, najlepiej lubisz to myk w bramę... Tak to pono było i w wojsku...

— Maryniu, ja nacieram na ten przykład, ty, ty kukułko jedyna... Czego się boisz, daj buzi... och, możesz dać...

Pokojówka spostrzegłszy ten ruch Walentego, ucieka na drugą stronę stołu. Walenty za nią.

— Patrzaj go, jaki odważny... no, no, idź precz!

— Na ten przykład... Maryniu.

•— Nawet na sto przykładów...

- Cóż-to, przecież twój narzeczony?
- Nie będzie już nic z tego! — odpowiada dziewczyna z drugiej strony stołu.
- Jakto? łamiesz swoje słowo? — zawoła przerażony Walenty— a obrączka? Chcesz, żeby cię Bóg skarał, Maryniu, serce moje, duszko moja, dlaczego mię nie chcesz?
- Bo moja panna twojego pana nie chce... Nie, nie!—mówi dalej, jak Walenty klęka z drugiej strony stołu. Idź sobie z Panem Bogiem a mnie daj pokój.
- Maryniu, Marysieńko! patrz jak mię serce pali... Patrz jak mi afekt rozdyma policzki... Lecz nie dokończył, bo w tej chwili wysuwa się z sąsiedniego pokoju ciocia z filiżanką gorącego kwiatu pomarańczowego.
- A co to, mospanie? Kto tu jest? Co to za mężczyzna śmie wchodzić bez mojej wiedzy?
- Walenty zrywa się jak oparzony i staje w postawie żołnierskiej.
- A, to waćpan, panie pokutniku... A to panienska skromna... Bardzo ładnie, bardzo ładnie... jeszcze mi hultaj bawełnę nogami poplątał.
- Przecież pani mogła widzieć, że stałam z drugiej strony stołu — mówi zawstydzona pokojówka, zbierając kłębek z bawełną.
- Gdzie panna Julia? A co on tu robi?
- Czekam na respons—odpowiada Walenty.
- Daj mu respons, Maryniu, żeby tu więcej nie zajrzał. Patrzajcie go tu, w pokoju panny Julii będzie swoje amory wyprowadzał.
- Panienska pisze list do pana Seweryna i on na niego czeka.
- A dlaczegóż klęczał przed tobą?

— Albo ja wiem dlaczego? Może mu się zdawało, że gu Prusak bierze do niewoli...

— Z przeproszeniem wielmożnej pani... ona wie dobrze, na ten przykład, dlaczego... Już my się ułożyli dawno, że ona za mnie pójdzie; ja dałem zadatek na sklepik, co w nim, na ten przykład, miała cygara sprzedawać; a teraz, proszę łaski wielmożnej pani, ni ztąd ni zowąd zmiana frontu.

— I to prawda, Maryniu? — pyta zainteresowana ciocia, chłodząc łyżeczką napój w filiżance.

— Prawda, proszę pani, ale skoro on więcej się zajmuje gazetami jak mną, skoro moja pani nie chce iść za jego pana, to i ja za niego nie pójdę.

— To bardzo źle, moja Maryniu! Iść musisz sko- roś przyrzekła, to nieładnie, on dał zadatek. Wiele dałeś, Walenty?

— Dwadzieścia siedm rubli, jak bułka za grosz— odpowiada prawie z płaczem — i kazałem robić gabilot- kę i com się natargował, na ten przykład!...

— A ja swoją drogą mówię, że nie pójdę za ciebie.

— Musisz, wietrznico jakaś!—krzyknie rozżalona ciotka—ja ci to mówię, że musisz!...

— Tak, musisz!—dodaje z tryumfem Walenty.

— Ja ci radzę, Walenty, idź do jakiego adwokata i powiedz mu, tak a tak było, obrączki zamiejijone i wprzód poświęcone...

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie — mówi zafrasowana pokojówka— pani zamiast być za mną, to jeszcze go uczy.

— A widzisz, Maryniu — przekłada jej ośmielony Walenty—siedziałabyś sobie, na ten przykład, jak jaka

kupcowa w sklepiku: jaby ci czytał gazetę... z przeproszeniem, czasami... bardzo ciekawą gazetę, bo ja mam ciekawe rzeczy, o mam! Mój przyjaciel, co jest woźnym przy redakcyi, to mi czasem wetknie coś, co tu, na ten przykład nie wszyscy mają. Aha! tam stoi...

— A ty niewdzięczna dziewczyno—rzecze z powagą ciotka, kiwając głową i grożąc jej palcem — taki los ci się trafia... Ale ty Walenty nie turbuj się, ona tylko tak drażni się z tobą, ona pójdzie, ja ją namówię, a ja każdego namówię, jak chcę.

Zapewniony w ten sposób Walenty, całuje z serdecznością rękę cioci, gdy panna Julia powraca już z gotowym listem do Seweryna.

— Walenty, oddaj to panu — rzecze, wysuwając rękę z listem.

— Bardzo przepraszam pannę, ja nie pozwolę — mówi ciocia biorąc list—panny nie pisują listów do kawalerów.

— Moja ciociu, a do kogoż pisują?

— Do mężów...

— Do mężów już nie potrzeba—odpowiada z roztargnieniem panienka—ot, widzi ciocia, przysłał bukiet.

— A, poprawia się... No, no, ja mówiłam; ale, moje dziecko, napij no się tego kwiatu pomarańczowego, jesteś zirytowana... Usiądźże tu koło mnie.

— Jak ciocia jesteś dobra—mówi Julia, siadając przytulona do staruszki — może i lepiej, że nic nie będę pisała,, więc Walenty Weź bukiet napowrót i przeproś, że przyjąć nie mogę.

Lecz Walenty usunąwszy się z Marynią na stronę, tak był zajęty rozmową, tak coś przykladał swej narzeczonej machając rękami, że Julia, wypiwszy kwiat po

marańczowy, musiała drugi raz swoje zlecenie powtórzyć.

- I co mam powiedzieć panu?
- Nic, niedołęgo, nic—wtrąca Marynia, wypychając go z lekka za drzwi.
- Ale ja ci mówię — szepcze do niej — że wieczór taki przyjdę.
- Spróbuj...
- Przyjdę...

Pozbywszy się Walentego, Marynia zaciekawiona pod pozorem uprzątnięcia pokoju uwija się, ścierając kurz z biórka.

- Ciociu—odzywa się Julia—jestem znudzona.
- To tylko, dziecię moje, nerwy dokazują... ja zawsze tak samo, jak mi się śni, że lecę z wysokiej góry. Obudzę się a serce buch, buch, wali jak młotem. Dam ci jeszcze jedną filiżankę kwiatu, dobrze?
- Jak ciocia chce...

Pocziwa starowina zabrawszy pustą filiżankę odchodzi, a zadumana Julia podparłszy piękną głowę, myśli nad skutkami ostatniej rozmowy z Sewerynem. Obrażona duina kobieca, zawiedzione nadzieje, upór rozpierzchniętego dziecka wywołują rumieniec oburzenia na jej twarzy, rumieniec, w ślady którego pokazują się łezki w oczach. Lecz w tej gorącej duszy wrażenia przebiegają tak prędko jak błyskawice; z rozczulenia wpada w irytację, z irytacji powstają nowe plany, a za chwilę ~ spycha je w krainę zapomnienia małeńka doza rozsądku.

- Możeby paniencie loki poprawić — przerywa tę zadumę pokojówka—widzę, że się zupełnie popsuły-

— Rób co chcesz ze mną — odpowiada zdesperowana i bez myśli prawie przenosi się na krzesło naprzeciw lustra stojące.

Marynia okrywa jej ramiona ręcznikiem, a podejmując z dywanu leżący kawałek „Kuryera Warszawskiego”, w którym był obwinięty bukiet, rozczesuje włosy nad czołem panienki.

— Czy tylko z przodu zakręcić, czy wszystkie?

— Jak ci się podoba, Maryniu... tylko proszę cię weź sobie grubszy papier, a tę gazetę daj mnie, będę czytała.

Pokojówka bierze inny papier ze stołu, a Julcia przerzuca oczami różnego rodzaju ogłoszenia, pomieszczone w trzymanym dodatku „Kuryera”.

■— Powiedz mi, Maryniu—zapytuje po chwili—czy się kochałaś kiedy?

— Próbowałam już nieraz, proszę panienki.

— Jako próbowałaś?

— Tak, na żarty.

— I zdradził cię kiedy twój kochanek?

— E, to się nie zdarzyło, proszę panienki — mów, robiąc figlarną minę i zwijając jeden po drugim papiloty .-^Gdzież jabym sobie pozwoliła to zrobić...

— Jako, ani razu?

— Ani razu; jak mię który znudził, jak ten „na- przykładnicki” Walenty teraz, to mu powiedziałam: idź sobie precz!... i poszedł...

— A jak nie chciał iść?—pyta, interesując się rozmową panna Julia.

— Musiał—odpowiada śmiejąc^ię Marynia—ina- -czej się go bierze za plecy i fora ze dwora.

— I serce cię z tego nie bolało?

— Nic, a nic... miałyby też czego boleć! Za jednego można mieć innych dziesięciu. Te chłopiska, przepaszam panią, to takie głupie, tylko mrugnąć okiem, to już lecą. a kiwnąć palcem... aż się cisną jeden przez drugiego...

— Co to jest?— przerywa Julja czytając ogłoszenia—wyborne! Słuchajno Maryniu: „Mężczyzna młody jeszcze, przyjemnej powierzchowności, zamożny i dobrze wychowany, życzy sobie znaleźć towarzyszkę życia,, osobę młodą podobnego stanu i z pewnym majątkiem. Adres pod literą L. K. poste restante. Tajemnica się zastrzega pod słowem honoru.”

— Oho, proszę panienki, to teraz często takia ogłoszenia panów i pańien nawet. Ja sama znam jednego kelnera Niemca, co żona jego tak po gazecie przyjechała aż ze Szwajcaryi.

— "Wyborne—mówi Julia wstając z krzesła — ta doskonale! Nie znajdę... mówił. Otóż znajdę, mości panie profesorze, znajdę, jak zechcę nawet jutro. A może to jakie nicpotem?

— Zapewne, proszę panienki, bo i ten kelner...

— Cóż mię to zresztą obowiązuje. Nie podoba mi się, to mu powiem: nie przychodź wacpan więcej, a słowem honoru zaręcza tajemnicę. Maryniu, słuchajno, czy mię ty kochasz?

— Proszę panienki, w wodę i w ogień za nią-byń* wskoczyła.

— A znasz tę suknię moję popielatą z czarnemu plisami?

— Jeszczebym też nie miała znać—odpowiada tro* chę niby zaambarasowana.

- Ona dla mnie zakrótką, prawda? Teraz daleko krótsze noszą ogony... weź sobie ją z szafy. Marynia z błyszczącymi od radości oczyma pocałowała ją w rękę.
- Ale pamiętaj, zrobisz to, co ja chcę i o tern ani słowa nikomu a nikomu!...
- A jak pan pułkownik będzie się gniewał?
- To też trzeba, żeby nikt o tem nie wiedział prócz nas dwojga; ja do tego pana napiszę list i każę mu przyjść pojutrze... ale lepiej wprzódzie niech przyśle swoją fotografię, może jaki stary lub brzydki, prawda? I to byó może—odpowiada Marynia—bo jakby był podobny do ludzi, toóby sobie b ez gazety znalazł żonę...
- Tak, może i masz rację, tylko każę mu fotografię przysłać pod twoim adresem, czy zgadzasz się?
- A cóż mi to szkodzi, proszę panienki, tylko ten pułkownik w głowie mi siedzi... a i ciocia...
- Et, co tam ciocia, wyprawię ją na nieszpory do Kapucynów, a zresztą, choć się i dowie, to wiesz przecie, że z nią wszystko mogę zrobić. Poczekaj, zaraz siadam i piszę. „Szanowny panie L. K. Czytałam pańskie ogłoszenie w Nr. 120 „Kuryera Warszawskiego” i nim się zdecyduję rozmówić z panem osobiście, proszę o przysłanie miejską pocztą swej fotografii pod adresem Maryi Mroczek, ul. Warecka, Nr. 17. Słowem honoru zaręczam również, że żadnego innego użytku z tej fotografii nie zrobię i takową panu powrócę. Jeżeli nie ma fotografii, to pr oszę osobiście jutro o godzinie czwartej.”
- Czy dobrze tak, Maryniu?
- O, bardzo mądrze, panienko... Jakie pannusia ma wybiegi...

— List ten wrzucisz do skrzynki pocztowej i będziemy czekać odpowiedzi. Wiesz, jak mię to cieszy, Maryniu, jestem tak zaciekawiona, że z pewnością całą noc spać nie będę.

— Ale pułkownik, panienko...

— Cóż wuj mi zrobi- odpowiada śmiało Julia — jak mi się ten pan podoba... to wiesz, rzucę mu się na szyję; ma się rozumieć, nie temu panu, ale wujowi, uściskam, ucałuję siwe wąsy i powiem: wujaszku kochany, ja tego chcę... I myślisz że nie zezwoli?

— Może nie pozwolić.

— Ej, Maryniu, nie znasz mojego wiljaszka. No, dajno pokój, oddaj list, a jak wrócisz, zabieraj suknię i milcz, pamiętaj, milcz jak grób.

Marynia przyrzekła, zabrała ów bilet i nie namyślając się długo, wybiegła na ulicę.

— Maryniu — woła przez okno Julia—ja patrzę na ciebie... proszę mi wrzucić do skrzynki.

Nie było co robić; Marynia pilnowana w ten sposób, spełniła rozkaz swej pani; fatalny list zniknął w otworze skrzynki pocztowej.

Z początku ten kaprys panienki powrócił jej wesoły humor i zupełną swobodę; zdawało się jej, że zrobiła coś arcydobrego, że nawiązała intrygę, która da jej kilka dni przyjemnego zajęcia, a głównie da sposobność zemszczenia się nad zatwardziałym i dumnym Sewerynem.

— Tego pewnie się nie spodziewa— myślała sobie chodząc po pokoju i zaglądając do lustra, w którym odbijała się jej żywa w papiloty ubrana twarzyczka. Cie- kawam tylko jak wygląda ten mój konkursowy amator. Założyłabym się, że musi być żywy, przyjemny, zape-

wne niebardzo bogaty, a najpewniej tak samo zdradzony, jak ja, mężczyzna. Co tu wdawać się w długie korowody poetyczne, chcesz mię, ja ciebie chcę i rzecz skończona! Ale przedewszystkiem położę mu warunek, że musi być posłuszny, bezwarunkowo posłuszny; żadnych ale, żadnej pracy i obowiązków, prócz obowiązków dla żony. Śliczna mi rzecz, mąż z nosem na kwintę, z czołem zamyślonem... A wujcio jak się zdziwi, dowiedziawszy się o zerwaniu z Sewerynem? Może się i pogniewa trochę; ten Seweryn ma być bardzo mądry i uczony, a u mężczyzn ta rzecz popłaca. Boże mój, jak oni mało znają kobiety! Ja żebym była mężem, to moja żona zawsze powinna by chodź ubraną podług ostatniej mody, nie dałabym jej niczem a niczem się zajmować, tylko przyjmować i bawić gości, jeździć na spacer w eleganckim powozie, błyszczeć w łoży w teatrze, mieć pełno znajomości, intrygować... no, troszkę tak niby intrygować młodzież—zawsze to musi być przyjemnie mężowi, jak się żona jego powszechnie podoba... a ja się potrafię podobać... dokończyła, spojrzawszy w lustro i pogroziwszy sobie paluszkami.

II.

Teraz przejdźmy, kochany czytelniku, do sąsiedniego pokoju, którego mieszkanką jest owa Marynia, wychowanka a zarazem poufna garderobiana panny Julii. Pokój ten wygląda nieco lepiej, niż zwykle pokoje dla służących; jest tam i sofa pokryta kwiciastym kretonem, jakaś staroświecka komoda i parę lepszych foteli, choć nienależących do garnituru — stół do robót kobiecych, zegar ścienny z kukułką, a na ścianie parę lepszych, go pędzla obrazów treści religijnej.

Obok owego stołu siedzi kucharz Franciszek, paląc papierosa, i dość poufale rozmawia z Marynią, zajęta szyciem sukni jedwabnej, której przykrajane części leżą to na stole, to na kanapie, lub owej starożytnej komodzie.

— Więc, panie Franciszku, pokażecie temu panu drzwi, jak się o mnie zapyta?

— A już ciż pokażę, choć, panno Maryanno, jak moja powiada, panna okrutnie krzywdzisz tego zfi⁰ Walentego. On się biedaczysko wykosztował na te#j sklepik...

— Ciekawam w czym go krzywdzę? — odpowia[^] Marynia, patrząc śmiało w oczy Franciszka. a J»

— Eh, rozumiemy się, rozumiemy... toć i 3® g z drzewa, a po co ten pan ma przychodzić?

— Ależ to mój krewniak, Franciszku... jak matkę serdecznie kocham, tak nie żaden kochanek.

— Znam się ja na takich krewniakach, co pod sekretem przychodzą do dziewczyn.

— Nie wierzycie, panie Franciszku, to nie wierzcie; cóż ja wam na to poradzę; a ja tam naprawdę Walentego nie odtrącam. Ten znowu to jest mój krewny, tylko widzicie z lepszej rodziny, i chciałby tak przyjść, żeby go nikt nie widział, że przychodzi do swej krewniaczki, która służy. To też, mój Franciszku, jakby was co o mnie zapytał, to udajcie, że wy nic a nic nie wiecie... pokazać mu drzwi i dosyć...

— Jak panna Maryanna chce, to ja zrobię —mówi, zabierając się do wyjścia Franciszek—ale zawsze obstać przy swoim, że szkoda tego Walentego. Wczoraj spotkali się z moją na mieście, to tak płakał przed nią jak małe dziecko i powiedział, że się na nic rozpije, że duszę straci i że panna Maryanna na sądzie ostatecznym odpowie za niego.

— Cóż ja to mam odpowiadać! zawołała obrażona pokojówka — czy ja mu się sprzedała, czy co? A jak mię będzie tak przed ludźmi cenzorować, to mu jeszcze nawymyślę...

— No, no, tylko się nie gniewać i nie odrzekać...

— Ja się tam nie odrzekam — przerywa Marynia — ale niech będzie cicho, bo inaczej złość na złość* Jak mię kto ukąsi, to go trzy razy głębiej ugryzę. A mazgajów nie lubię, co płaczą. Wolę już, żeby się kłócił zęb za zęb, aniżeli żeby beczał; co mi to za chłop, niby wojskowy, co płacze i tak krzywi głębią i jeszcze mu się przy płaczu nos czerwieni! Powiedzcie mu to ode mnie.

— Albo ja wiem dlaczego? Może mu się zdawało, że gu Prusak bierze do niewoli...

— Z przeproszeniem wielmożnej pani... ona wie dobrze, na ten przykład, dlaczego... Już my się ułożyli dawno, że ona za mnie pójdzie; ja dałem zadatek na sklepik, co w nim, na ten przykład, miała cygara sprzedawać; a teraz, proszę łaski wielmożnej pani, ni ztąd ni zowąd zmiana frontu.

— I to prawda, Maryniu? — pyta zainteresowana ciocia, chłodząc łyżeczką napój w filiżance.

— Prawda, proszę pani, ale skoro on więcej się zajmuje gazetami jak mną, skoro moja pani nie chce iść za jego pana, to i ja za niego nie pójdę.

— To bardzo źle, moja Maryniu! Iść musisz sko- roś przyrzekła, to nieładnie, on dał zadatek. Wiele dałeś, Walenty?

— Dwadzieścia siedm rubli, jak bułka za grosz— odpowiada prawie z płaczem — i kazałem robić gabilot- kę i com się natargował, na ten przykład!...

— A ja swoją drogą mówię, że nie pójdę za ciebie.

— Musisz, wietrznico jakaś!—krzyknie rozżalona ciotka—ja ci to mówię, że musisz!...

— Tak, musisz!—dodaje z tryumfem Walenty.

— Ja ci radzę, Walenty, idź do jakiego adwokata i powiedz mu, tak a tak było, obrączki zamiejione i wprzód poświęcone...

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie — mówi zafrasowana pokojówka— pani zamiast być za mną, to jeszcze go uczy.

— A widzisz, Maryniu —przekłada jej ośmielony Walenty—siedziałyś sobie, na ten przykład, jak jaka

kupcowa w sklepiku: jaby ci czytał gazetę,, z przeproszeniem, czasami... bardzo ciekawą gazetę, bo ja mam ciekawe rzeczy, o mam! Mój przyjaciel, co jest woźnym przy redakcyi, to mi czasem wetknie coś, co tu, na ten przykład nie wszyscy mają. Aha! tam stoi...

— A ty niewdzięczna dziewczyno—rzecze z powagą ciotka, kiwając głową i grożąc jej palcem — taki los ci się trafia... Ale ty "Walenty nie turbuj się, ona tylko tak drażni się z tobą, ona pójdzie, ja ją namówię, a ja każdego namówię, jak chcę.

Zapewniony w ten sposób Walenty, całuje z serdecznością rękę cioci, gdy panna Julia powraca już z gotowym listem do Seweryna.

— Walenty, oddaj to panu — rzecze, wysuwając rękę z listem.

— Bardzo przepraszam pannę, ja nie pozwolę — mówi ciocia biorąc list—panny nie pisują listów do kawalerów.

— Moja ciociu, a do kogoż pisują?

— Do mężów...

— Do mężów już nie potrzeba—odpowiada z roztargnieniem panienka—ot, widzi ciocia, przysłał bukiet.

— A, poprawca się... No, no, ja mówiłam; ale, moje dziecko, napij no się tego kwiatu pomarańczowego, jesteś zirytowana... Usiądźże tu koło mnie.

— Jak ciocia jesteś dobra—mówi Julia, siadając przytulona do staruszki — może i lepiej, że nic nie będę pisała... więc Walenty w*eż bukiet napowrót i przeproś, że przyjąć nie mogę.

Lecz Walenty usunąwszy się z Marynią na stronę, tak był zajęty rozmową, tak coś przykładał swej narzeczonej machając rękami, że Julia, wypiwszy kwiat po

marańczowy, musiała drugi raz swoje zlecenie powtórzyć,

— I co mam powiedzieć panu?

— Nic, niedołągo, nic—wtrąca Marynia, wypychając go z lekka za drzwi.

— Ale ja ci mówię—szepcze do niej — że wieczór taki przyjdę.

— Spróbuj...

— Przyjdę...

Pozbywszy się Walentego, Marynia zaciekawiona pod pozorem uprzątanania pokoju uwija się, ścierając kurz z biórka.

— Ciociu—odzywa się Julia—jestem znudzona.

— To tylko, dziecię moje, nerwy dokazują... ja zawsze tak samo, jak mi się śni, że lecę z wysokiej góry. Obudzę się a serce buch, buch, wali jak młotem. Dam ci jeszcze jedną filiżankę kwiatu, dobrze?

— Jak ciocia chce...

Pocziwa starowina zabrawszy pustą filiżankę odchodzi, a zadumana Julia podparłszy piękną głowę, myśli nad skutkami ostatniej rozmowy z Sewerynem. Obrażona duma kobieca, zawiedzione nadzieje, upór rozpierzchniętego dziecka wywołują rumieniec oburzenia na jej twarzy, rumieniec, w ślady którego pokazują się łezki w oczach. Lecz w tej gorącej duszy wrażenia przebiegają tak prędko jak błyskawice; z rozzulenia wpada w irytację, z irytacji powstają nowe plany, a za chwilę spycha je w krainę zapomnienia małeńka doza rozsądku.

— Możeby panience loki poprawić — przerywa tę zadumę pokojówka—widzę, że się zupełnie popsuły.

— Rób co chcesz ze mną — odpowiada zdesperowana i bez myśli prawie przenosi się na krzesło naprzeciw lustra stojące.

Marynia okrywa jej ramiona ręcznikiem, a podejmując z dywanu leżący kawałek „Kuryera Warszawskiego”, w którym był obwiniony bukiet, rozczesuje włosy nad czołem panienki.

— Czy tylko z przodu zakręcić, czy wszystkie?

— Jak ci się podoba, Maryniu... tylko proszę cię weź sobie grubszy papier, a tę gazetę daj mnie, będę czytała.

Pokojówka bierze inny papier ze stołu, a Julcia przerzuca oczami różnego rodzaju ogłoszenia, pomieszczone w trzymanym dodatku „Kuryera”.

— Powiedz mi, Maryniu—zapytuje po chwili—czy się kochałaś kiedy?

— Próbowałam już nieraz, proszę panienki.

— Jako próbowałaś?

— Tak, na żarty.

— I zdradził cię kiedy twój kochanek?

— E, to się nie zdarzyło, proszę panienki — mów, robiąc figlarną minę i zwijając jeden po drugim papiloty .-^—Gdzież jabym sobie pozwoliła to zrobić...

— Jako, ani razu?

— Ani razu; jak mię który znudził, jak ten „na- przykładnicki” Walenty teraz, to mu powiedziałam: idź sobie precz!... i poszedł...

— A jak nie chciał iść?—pyta, interesując się rozmową panna Julia.

— Musiał—odpowiada śmiejąc się Marynia—inaczej się go bierze za plecy i fora ze dwora.

— I serce cię z tego nie bolało?

— Nic, a nic... miałoby też czego boleć! Za jednego można mieć innych dziesięciu. Te chłopiska, przepraszam panią, to takie głupie, tylko mrugnąć okiem, to już lecą> a kiwnąć palcem... aż się cisną jeden przez drugiego...

— Co to jest?— przerywa Julja czytając ogłoszenia—wyborne! Słuchajno Maryniu: „Mężczyzna młody jeszcze, przyjemnej powierzchowności, zamożny i dobrze wychowany, życzy sobie znaleźć towarzyszkę życia> osobę młodą podobnego stanu i z pewnym majątkiem. Adres pod literą L. K. poste restante. Tajemnica się zastrzega pod słowem honoru.”

— Oho, proszę panienki, to teraz często takie ogłoszenia panów i panien nawet. Ja sama znam jednego kelnera Niemca, co żona jego tak po gazecie przyjechała aż ze Szwajcaryi.

— Wybornie—mówi Julia wstając z krzesła — ta doskonale! Nie znajdę... mówił. Otóż znajdę, mości panie profesorze, znajdę, jak zechcę nawet jutro. A może to jakie nicpotem?

— Zapewne, proszę panienki, bo i ten kelner...

— Cóż mię to zresztą obowiązuje. Nie podoba mi się, to mu powiem: nie przychodź wacpan więcej, a słowem honoru zaręczą tajemnicę. Maryniu, słuchajno, czy mię ty kochasz?

— Proszę panienki, w wodę i w ogień za nią-bym wskoczyła.

— A znasz tę suknię moję popielatą z czarnemfe plisami?

— Jeszczebym też nie miała znać—odpowiada trochę niby zaambarasowana.

- Ona dla mnie zakrótką, prawda? Teraz daleko krótsze noszą ogony... weź sobie ją z szafy.
Marynia z błyszczącymi od radości oczyma pocar łaowała ją w rękę.
- Ale pamiętaj, zrobisz to, co ja chcę i o tern ani słowa nikomu a nikomu!...
- A jak pan pułkownik będzie się gniewał?
- To też trzeba, żeby nikt o tem nie wiedział prócz nas dwojga; ja do tego pana napiszę list i każę mu przyjść pojutrze... ale lepiej wprzódy niech przyśle swoją fotografię, może jaki stary lub brzydki, prawda?
I to być może—odpowiada Marynia—bo jakby był podobny do ludzi, toćby sobie b ez gazety znalazł żonę...
- Tak, może i masz rację, tylko każę mu fotografię przysłać pod twoim adresem, czy zgadzasz się?
- A cóż mi to szkodzi, proszę panienki, tylko ten pułkownik w głowie mi siedzi... a i ciocia...
- Et, co tam ciocia, wyprawię ją na nieszpory do Kapucynów, a zresztą, choć się i dowie, to wiesz przecie, że z nią wszystko mogę zrobić. Poczekaj, zaraz siadam i piszę. „Szanowny panie L. K. Czytałam pańskie ogłoszenie w Nr. 120 „Kuryera Warszawskiego" i nim się zdecyduję rozmówić z panem osobiście, proszę o przysłanie miejską pocztą swej fotografii pod adresem Maryi Mroczek, ul. Warecka, Nr. 17. Słowem honoru zaręczam również, że żadnego innego użytku z tej fotografii nie zrobię i takową panu powrócę. Jeżeli nie ma fotografii, to pr oszę osobiście jutro o godzinie czwartej."
- Czy dobrze tak, Maryniu?
- O, bardzo mądrze, panienko... Jakie pannusia ma wybiegi...

— List ten wrzucisz do skrzynki pocztowej i będziemy czekać odpowiedzi. Wiesz, jak mię to cieszy, Maryniu, jestem tak zaciekawiona, że z pewnością całą noc spać nie będę.

— Ale pułkownik, panienko...

— Cóż wuj mi zrobi— odpowiada śmiało Julia — jak mi się ten pan podoba... to wiesz, rzucę mu się na szyję; ma się rozumieć, nie temu panu, ale wujowi, uściskam, ucałuję siwe wąsy i powiem: wujaszku kochany, ja tego chcę... I myślisz że nie zezwoli?

— Może nie pozwolić.

— Ej, Maryniu, nie znasz mojego wujaszka. No, dajno pokój, oddaj list, a jak wrócisz, zabieraj suknię i milcz, pamiętaj, milcz jak grób.

Marynia przyrzekła, zabrała ów bilet i nie namyślając się długo, wybiegła na ulicę.

— Maryniu — woła przez okno Julia—ja patrzę na ciebie... proszę mi wrzucić do skrzynki.

Nie było co robić; Marynia pilnowana w ten sposób, spełniła rozkaz swej pani; fatalny list zniknął w otworze skrzynki pocztowej.

Z początku ten kaprys panienki powrócił jej wesoły humor i zupełną swobodę; zdawało się jej, że zrobiła coś arcydobrego, że nawiązała intrygę, która da jej kilka dni przyjemnego zajęcia, a głównie da sposobność zemszczenia się nad zatwardziałym i dumnym Sewerynem.

— Tego pewnie się nie spodziewa—myślała sobie chodząc po pokoju i zaglądając do lustra, w którym odbijała się jej żywa w papiloty ubrana twarzyczka. Cie- kawam tylko jak wygląda ten mój konkursowy amator. Założyłabym się, że musi być żywy, przyjemny, zape-

wne niebardzo bogaty, a najpewniej tak samo zdradzony, jak ja, mężczyzna. Co tu wdawać się w długie korowody poetyczne, chcesz mię, ja ciebie chcę i rzecz skończona! Ale przedewszystkiem położę mu warunek, że musi być posłuszny, bezwarunkowo posłuszny; żadnych ale, żadnej pracy i obowiązków, prócz obowiązków dla żony. Śliczna mi rzecz, mąż z nosem na kwintę, z czołem zamyślonem... A wujcio jak się zdziwi, dowiedziawszy się o zerwaniu z Sewerynem? Może się i pogniewa trochę; ten Seweryn ma być bardzo mądry i uczony, a u mężczyzn ta rzecz popłaca. Boże mój, jak oni mało znają kobiety! Ja żebym była mężem, to moja żona zawsze powinna by chodź ubraną podług ostatniej mody, nie dałabym jej niczem a niczem się zajmować, tylko przyjmować i bawić gości, jeździć na spacer w eleganckim powozie, błyszczeć w łoży w teatrze, mieć pełno znajomości, intrygować... no, troszkę tak niby intrygować młodzież—zawsze to musi być przyjemnie mężowi, jak się żona jego powszechnie podoba... a ja się potrafię podobać... dokończyła, spojrzawszy w lustro i pogroziwszy sobie paluszkami.

II.

Teraz przejdźmy, kochany czytelniku, do sąsiedniego pokoju, którego mieszkanką jest owa Marynia, wychowanka a zarazem poufna garderobiana panny Julii. Pokój ten wygląda nieco lepiej, niż zwykle pokoje dla służących; jest tam i sofa pokryta kwiciastym kretinem, jakaś staroświecka komoda i parę lepszych foteli, choć nienależących do garnituru — stół do robót kobiecych, zegar ścienny z kukułką, a na ścianie parę lepszego pędzla obrazów treści religijnej.

Obok owego stołu siedzi kucharz Franciszek, paląc papierosa, i dość poufale rozmawia z Marynią, zajęta szyciem sukni jedwabnej, której przykrajane części leżą to na stole, to na kanapie, lub owej starożytnej komodzie.

— Więc, panie Franciszku, pokażecie temu panu drzwi, jak się o mnie zapyta?

— Ajużciż pokażę, choć, panno Maryanno, jak moja powiada, panna okrutnie krzywdzisz tego zucha Walentego. On się biedaczysko wykosztował na ten sklepik...

— Ciekawam w czym go krzywdzę? — odpowiada Marynia, patrząc śmiało w oczy Franciszka.

— Eh, rozumiemy się, rozumiemy... toć i ja nie z drzewa, a po co ten pan ma przychodzić?

— Ależ to mój krewniak, Franciszku... jak matkę serdecznie kocham, tak nie żaden kochanek.

— Znam się ja na takich krewniakach, co pod sekretem przychodzą do dziewczyn.

— Nie wierzycie, panie Franciszku, to nie wierzcie; cóż ja wam na to poradzę; a ja tam naprawdę Walentego nie odtrącam. Ten znowu to jest mój krewny, tylko widzicie z lepszej rodziny, i chciałby tak przyjść, żeby go nikt nie widział, że przychodzi do swej krewniaczki, która służy. To też, mój Franciszku, jakby was co o mnie zapytał, to udajcie, że wy nic a nic nie wiecie... pokazać mu drzwi i dosyć...

— Jak panna Maryanna chce, to ja zrobię —mówi, zabierając się do wyjścia Franciszek—ale zawsze obstać przy swoim, że szkoda tego Walentego. Wczoraj spotkali się z moją na mieście, to tak płakał przed nią jak małe dziecko i powiedział, że się na nic rozpije, że duszę straci i że panna Maryanna na sądzie ostatecznym odpowie za niego.

— Cóż ja to mam odpowiadać! zawołała obrażona pokojówka — czy ja mu się sprzedała, czy co? A jak mię będzie tak przed ludźmi cenzorować, to mu jeszcze nawymyślę...

— No, no, tylko się nie gniewać i nie odrzekać...

— Ja się tam nie odrzekam — przerywa Marynia — ale niech będzie cicho, bo inaczej złość na złość* Jak mię kto ukąsi, to go trzy razy głębiej ugryzę. A mazgajów nie lubię, co płaczą. Wolę już, żeby się kłócił zęb za zęb, aniżeli żeby beczał; co mi to za chłop, niby wojskowy, co płacze i tak krzywi głęba i jeszcze mu się przy płaczu nos czerwieni! Powiedzcie mu to ode mnie.

Franciszek pokiwał głową i wyszedł, a tymczasem z sąsiedniego pokoju pokazała się panna Julia.

— No i cóż Franciszek?

— Eh, proszę paniusi, zrobi wszystko... tylko mi naklekał głowę tym Walentym, i aż zła jestem z tego.

— Więc ty nie masz zamiaru iść za niego? — spytała Julia, stając obok stolika z robotą.

— Nie odrzekam się go jeszcze, proszę panienki... może i pójde, ale niech się trochę poturbuje... bo tak jakby wszystko szło po jego woli, toby się strasznie rozpanoszył i mnie przewodził. A tak, to zawsze będzie wiedział, że ja mu łaskę robię, jak za niego pójde...

— Wiesz, Maryniu — mówi Julia — i ja całutką noc spać nie mogłam. Ten pan Seweryn stał mi ciągle przed oczami; żal mi, że go tak ostro odprawiłam.

— I on się przeprosi, zobaczy panienka, tylko trzeba wytrzymać.

— O, nie, nie, tego sobie nie życzę — odpowiada żywiej Julia — już się stało!... Tylko wiesz i ten list wczorajszy bardzo mię niepokoï, i czem bliżej do czwartej godziny, tem więcej czuje, że postąpiłam bardzo lekomyślnie...

— Krótka sprawa: nie pokaże się panienka i ja go zbęde byle czem.

— Kiedy znów jestem bardzo ciekawa... Ale wiem, co zrobimy — zawołała po chwili. — Doskonale, wybornie... ty będziesz udawać mnie, a ja służącą... albo lepiej: obie jesteśmy szwaczki... Doskonale; on nic nie będzie wiedział, która jest kandydatką na żonę. Będziemy go tak szachować...

— Ależ, panienko, ja nie potrafię wygadać się P^o pańsku.

— Potrafisz, Maryniu; odzywaj się tylko niewiele... Co to, już czwarta bije!... Pójdźmy przebrać się odpowiednio... tylko pamiętaj: jesteśmy biedne, utrzymujemy się z robót...

Panienka zadowolona takim obrotem sprawy i nowym pomysłem, wybiegła do swego gabinetu, gdy Marynia, usłyszawszy głos dzwonka z przedpokoju, rzuciła robotę na stół i w drzwi na lewo.

— To tu, proszę pana, mieszka panna Mroczek— odezwał się Franciszek, wprowadzając do pokoju przybyłego mężczyznę.

Nieznajomy, żeby dobitnie rzecz przedstawić, nie wszedł, ale wpadł ogromnie zaalterowany, niby człowiek, któremu się zdaje, że na niego robią zasadzkę. Był to już nie pierwszej młodości, pretensjonalnie wyświeżony, wymuskany, pachnący, w obcisłym ubraniu mężczyzna — coś niby kelner, z restauracji, niby subiekt fryzjerski. Wygolony, z wąsami cieniutko po obu stronach rumianych policzków zakręconymi do góry, z ufryzowaną i nastroszoną czupryną, w białych glansowanych rękawiczkach, w świeżutkim lśniącym kapeluszu i takichże lakierkach — sprawiał tak komiczny efekty że Franciszek stanąwszy we drzwiach, patrzył na odświeżonego fircyka, niby na jakie dziwowisko.

— Czy to jaki dyabeł, czy farmazon, hę? — pomyślał. — A to mi kuzynek, ha! Podejrzany, o! podejrzany! Szkoda mi Walentego.

— Za pozwoleniem, przyjacielu, powiedzno mi — pyta ów jegomość, robiąc pocieżne skoki—kto tu mieszka?

— A ta, coś pan o nią pytał, Maryanna Mroczek...

— Wiem, wiem, że panna Mroczek; tylko, co ona za jedna?

- To to, że i nie wiem...
- Sama mieszka, czy z krewną?
- I tego nie wiem.
- A wy co za jeden? pewno i tego nie wiecie?
- I tego nie wiem — odpowiada Franciszek.
- Więc któż wam tu kazał mię wprowadzić?
- Toó pan sam mię zaczepił o Maryannę...

— Et, przyjacielu, udajesz głupca — rzecze ów jegomość, poprawiając rękawiczki. — Ty nie myśl, że ja sobie taki jestem... nie, nie, ja wiele mogę... wiedz, że ja jestem ten, co na całe miasto daje miejsca służącym i jak będziesz potrzebował jakiej dobrej służby, to cię, panie, dam gdzie do hrabiego albo do księcia. No, powiedz teraz — dokończył, stając z ogromną powagą przed Franciszkiem.

— Dziękuję panu za obietnicę — odpowiada chłodno Franciszek — ale ja sobie jestem niby sam pan.

— To ja mogę panu dobrodziejowi nastreczyć porządnych służących... mam zawsze pełno...

— Et, proszę pana, nie dogadamy się chyba... ja muszę iść, bo nie mam czasu, a przyjdzie panna Maryanna, to się pan wszystkiego dokumentnie dowie.

I zamknąwszy mu drzwi przed nosem, Franciszek zadumany powrócił do kuchni.

Zostawiony w ten sposób kandydat do żeniaczki, jednym rzutem oka ogarnął umeblowanie całego pokoju.

— Hm, hm, to jakaś golizna, panie... mebelki od żydów... sofa perkalikiem pokryta... A tu robota jakaś damska — mówi, zbliżając się do stołu i próbując ręką materyę — jedwab jednakże kroaze... pewnie to jakaś szwaczka. Nic nie szkodzi i szwaczki bywają ciepłe, panie... Et, dyabła tam uczciwe szwaczki co mieć mogą-

Złapali cię, ^ panie Hipolicie; chłopcze, bądź ostrożny... A pytałem stróża na dole; powiedział, że tu mieszka jakiś pułkownik ze wsi... Co to jest? książka, romans francuzki... Dalibóg, głupieję...

Kiedy pan Hipolit, bo tak się sam nazwał, zajęty był różnymi domysłami, otwierają się drzwi od pokoju Julii i naraz wchodzi dwie znajome nam panny. Hipolit skoczył od komody, dał susa, uklonił się z całą wyszukaną elegancją, na co panny odpowiedziały również ukłonem, a usiadłszy na kanapie, poprosiły go zając miejsce na krześle.

Usiedli i milczą zakłopotani. Hipolit obraca kapeluszem w rękę i krzaka; panny trącają się nawzajem, spoglądając z boku na konkurenta; naraz parszają gwałtownym śmiechem, który jeszcze bardziej miesza przybyłego...

— Jestem... Hipolit Wykrętalski...

Panny się kłaniają, ale się duszą od śmiechu.

— Przybyłem — mówi dalej niezrażony konkurent — wskutek wiadomego listu...

Znowu chwila milczenia, w ciągu której panny szepczą sobie coś do ucha.

— A ja jestem ja... — odzywa się ze śmiechem Marynia — a to moja przyjaciółka.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panie dobrodziejki...

— Czytałyśmy pańskie ogłoszenie w gazetach — wtrąca Julia—i chcieliśmy poznać, kto... to jest, z kim mamy przyjemność...

— Przed chwilą miałem honor zaprezentować się: Hipolit Wykrętalski, do usług.

— Ale...

— Rozumiem, rozumiem: panie dobrodziejki chciałyby wiedzieć, kto jestem?
— Naturalnie — odpowiadają, obie naraz.
— Jestem tedy dom komisowo...
— Jakto dom? — pyta, śmiejąc się znów Julia.
— Chciałem powiedzieć naczelnik... ale nie, lepiej dyrektor... i to właściwie nie, bo jakże można być swoim dyrektorem... to jest, mówiąc prosto, mam dom handlo-wo-komisowo-spedycyjno - wywiadowczy... — dokończył, pocąc się pod owemi tytułami.
— Przy której ulicy? — pyta Julia.
— A już to, pani dobrodziejko, musi być mój sekret, dopóki od pań dobrodziejek nie dowiem się nawzajem... ale że mam, na to daję słowo honoru...
— To przynajmniej może pan powiedzieć — wtrąca Marynia — czy to dom duży?
— O, bardzo wielki, bardzo wielki dom...
— O jednym czy dwóch piętrach?
— Ależ to, pani dobrodziejko, to nie jest żadna kamienica, jak pani sądzi — tłumaczy Hipolit, gdy Julia śmiejąc się, trąca łokciem Marynię — to jest kantor handlowy, niby biuro, który daje więcej dochodu, niż kamienica. Mój majątek, to kapitał i praca... Ale przepraszam panie dobrodziejki, jestem człowiek otwarty, renomowany i radbym wiedzieć, która z pań życzyła sobie...
— Jabył sobie życzyła — odzywa się Julia.
— I jabył sobie życzyła — dodaje Marynia.
Taka pochopność ze strony pań widocznie zadowolniła konkurenta, bo pociągnął ręką kamizelkę, wyprostował się na krześle i jedną ręką pokręcił wąsa.

— Bardzo mi to pochlebia, tego... ze panie dobrodziejki tak łaskawe...

— Tylko chciałabym wiedzieć, co pan wymagasz od przyszłej żony? — pyta Julia.

— Jakto? — przerywa Marynia — czyż mężczyzna ma prawo czego wymagać? śliczna mi rzecz...

— Jednak radabym wiedzieć, jak pan się zapatrujesz na życie — mówi dalej Julia, nie zważając na opozycję Maryni.

■— A pani dobrodziejka — odpowiada po chwili namysłu Hipolit — nie raczyłyby mi objaśnić swego zdania?

— Nie, nie, niech pan naprzód powie! Mężczyzna jest głową domu...

•— Tylko nie tego, jak pan mówił, „speniowanego” czy „komisarowego...” nie tego, nie, tylko tego gdzie żona ma mieszkać — wtrąca rozochociona Marynia.

— No, ma się rozumieć, nie tego... trudna to sprawa ■— odpowiada widocznie zakłopotany konkurent. — Mojem zdaniem, proszę pani dobrodziejki... życie to... ruch... ■— a spostrzegłszy, że panny znowu parsknęły śmiechem, dodaje prędko •— ruch, ma się rozumieć, moralny... to jest interesów w kantorze.

— Cóż to może obchodzić żonę? — pyta Julia.

— Musi obchodzić, musi; bo mąż i żona to jedno.

— A jak żona nie chce ruchu — przerywa Marynia — to i mąż nie powinien chcieć...

— Ja, pani dobrodziejko, przez ruch rozumiem kapitalik, tak, kapitalik; w dobrych rękach, pani, kapitalik to wszystko.

— A miłości już nie potrzeba wcale—mówi Julia.

— Naturalnie, że miłość przede wszystkim! To,

A. Wilczyński.—Tom IV.

pani dobrodziejko, jest uczucie wzniosłe, szlachetne, to jest źródło, z którego płynie wszystko...

— Nawet i kapitalik — wtrąca Marynia.

— Tak, tak, nawet kapitalik... bo jak zona kocha męża, to mu powierzy swój kapitalik — odrzekł widocznie uradowany tym zwrotem pan Hipolit.

— Więc tutaj widocznie idzie panu o kapitalik, czy tak? — mówi Julia, utrzymując rozmowę i zachowując pozorowaną powagę.

— A, nie! Przepraszam panią dobrodziejkę: mnie idzie o miłość i o kapitalik... tak razem. Teraz ciężkie czasy, kobiety mają tyle wymagań, więc miłość bez funduszków cienko śpiewa. Ja jestem człowiek praktyczny i wiem, że bez pieniędzy nic się nie da... miłość nie zastąpi obiadu.

— Jak pan uważa — pyta Marynia — jakiego też. podług pana trzeba kapitaliku?

— Hm, to trudno oznaczyć; od przybytku nigdy głowa nie zaboli... sto tysięcy... połowa nawet... i jeszcze mniej — kończy, zważając, że wysokość sumy robi nieprzyjemne na pannach wrażenie.

— Za pozwoleniem pana — rzecze Julia — wszak pan ogłosiłeś, że posiadasz jakiś majątek; czy wolno mi zapytać jaki?

— To trudno w obrotach handlowych oznaczyć; u nas, pani dobrodziejko, największym kapitałem jest praca i rozum. Oboje, nie chwając się, mam; o tem wszyscy wiedzą,

— Co do mnie — mówi Julia z udaną skromnością — to ja mam tylko połowę tego co pan, to jest pracę.

— A ja drugą połowę — dodaje Marynia — bo- rozum.

— Wolne żarty pań — odpowiada, śmiejąc się przymusowo konkurent.

— Przy tem wszystkiem może się i jakaś pomoc znajdzie — odzywa się Julia. — Czy pan potrafiłbyś uszczęśliwić przyszlą swoją małżonkę, czy mógłbyś pokochać ją z całym poświęceniem.

— Naturalnie, że potrafiłbym; dlaczegóżby nie. Ja jestem człowiek delikatny, no i młody, jak pani widzi i serce mam.; w miarę...

— Kapitaliku...—wtrąca Marynia.

— Co do wygód zapewne...

— Więc sądzę, łatwo przyjdziemy do porozumienia—mówi Julia — idzie rzecz tylko o to, która z nas& więcej się panu podoba?

— To jest tak trudno na pierwszy raz... ale gdybym...

— Wiedział o wysokości kapitału — kończy Marynia.

— Zapewne i to coś znaczy—odpowiada zakłopotany, pilnie rozpatrując się w ubraniu panien— jednak— mówi dalej, zwracając się do Maryni, bo ta miała na sobie popielatą, elegancką suknię — gdyby pani powiedziała, że nie jestem dla niej wstrętnym...

— I owszem, pan mi się bardzo podobasz...

— I gdyby jakaś pomoc...

— No, tak dwa tysiące guldenów?

— To mało, bardzo mało... darujesz pani... chyba gdyby do tego jakaś familia można... choćby protekcyjka...

— Otóż i tego nie ma — odpowiada Marynia na seryo—jestem sierota... to co jest, zebrałam z własnej pracy.

Wielka szkoda...—odpowiada, wzdychając Hipolit.

Wtem daje się słyszeć jakiś głośny szelest w przedpokoju, coś niby szamotanie się — drzwi otwierają się z trzaskiem i wpada z całą furją i nożem Walenty.

— Jaja na śmierć zabiję! i tego fircyka zabiję i siebie, na ten przykład, zabiję... Niech będzie raz koniec!

Kobiety przestraszone skoczyły naraz z siedzenia? chowając się za ottomankę, Hipolit za niemi...

— To jakiś napad! zasadzka—panie, ratujcie!

Julia poznawszy Walentego, pierwsza ochłonęła z przestraszu i występuje śmiało naprzód.

— Walenty, co to jest? kto ci pozwolił wchodzić tu z podobnemi hałasami? Oddaj ten nóż!

— Bo, bo... ona — mówi pokornie, pozwalając sobie wyjąć kuchenny nóż z ręki—zdradza mię; niech jasna panienka, na ten przykład, nie gniewa się a rozsądzi...

— No, zabijaj, zabijaj ty awanturniku — rzecze Marynia, stając obok niego.

— Spróbuj zabijać—dodaje odważnie Hipolit, jednak przypatrując się ciekawie Julii, którą Walenty nazwał jasną panienką.

— Nie drażnij mię, mówię ci, ty wietrznico jakaś!—krzyknie znów w pasy Walenty — bo ja nie będę pardonował na nic. To tak, tak się robi; z jednym się zaręcza, a drugiego się pokryjomu przyjmuje...

— Walenty... chybaś zwaryował, albo powracasz z jakiego szynku... nie widzisz, że ja tu jestem. Ten pan miał do mnie interes...

— Bo ten Franciszek napłótl mi... prawda, ja chyba zwaryowałem dzisiaj...

— Et, od dawna ci już jednej klepki brakuje... ty, ty przebrzydły zadrośniku! Przeproś panienkę zaraz i wynoś się swoim kosztem.

Walenty spokorniał w jednej chwili, i pocałował w rękę JuHę, wyszedł skonfundowany z Marynią, która mu ciągle dogadywała.

— Idźże prędzej, niedołęgo... tylko mi wstyd robisz przed takimi krewnymi.

— Pani dobrodziejka daruje— odzywa się Hipolit z ukłonem pełnym pretensyi.

— Co mam darować? Czy to, żeś mię pan nie chciał...

— Wolne żarty, jaśnie pani — mówi wśród komicznych gestykulacyi Hipolit—to było sobie tak poufnie., bo to widzi jaśnie pani, ja to nie jestem ja...

— A któż pan jesteś?

— Nie ten, co ogłaszał w gazecie...

— I jakże pan śmiałeś?

— Eh, bo to inaczej się rzecz ma, ja proszę jasnej panienki mam dom...

— Słyszałam już o tym domie...

— Ale właściwie nie jest jeszcze dom, ale tak kantor informacyjny, czyli stręczeń... I właśnie do mnie zgłosił się jeden pan, obywatelski syn z prowincyi... Niech się jaśnie pani nie śmieje, bo to jest bardzo porządny, wyedukowany i przystojny mężczyzna... wielki pan... i ja od niego zrobiłem ogłoszenie... Czy on tu może przyjść?

— Zwróć się pan z tem zapytaniem do Maryanny Mroczek...

— Jaśnie pani... gdzieżby tam dla niego panna Maryanna, to dla mnie jeszczeby jakoś uszło... Ja za-

raz zmiarkowałem, że co ona, to nie jaśnie pani... No, ale tak wypadło mi. Ten pan zaś, to co innego; wojazował po rozmaitych krajach; po francuzku expedite, po włosku expedite. On z matką, bardzo porządną sędziwą, spacerują tam po ulicy... był w "Wenecyi, proszę pani...

— Żegnam pana — przerywa Julia, kłaniając się obojętnie.

— Jaśnie pani miej litość... teraz takie ciężkie czasy na nasze kantory... wpisowe zniesione... Co to jaśnie pani szkodzi... niech oni tu przyjdą... tak niby obejrzyć mieszkanie do najęcia. Ja daję słowo honoru, nikt nie będzie wiedział... tylko pół procent biorę...

— Powiedziałam panu, że to do mnie nie należy— rzecze Julia na pół ze śmiechem, zabierając się do wyjścia...

— Tylko na pięć minut... — dogaduje już w drzwiach—a przytem śmiem polecić moje usługi: strę- czę wszystko, guwernantki, gospodynie, kucharzy, leśniczych, pokojówki, damy do towarzystwa—mówił jeszcze za drzwiami, gdy Julia zniknęła już z pokoju.

— Dyabli nadali, jak mnie wzięły na fis! Szkoda, szkoda... pewne sto tysięcy poszło z dymem. Ot frant ze mnie, a mam się za sprytnego... ktoby to myślał... ubrana jak szwaczka .. No, no, stało się, panie Hipolicie, przegrałeś grubą stawkę... Łap teraz małe rybki... komisowe... dobre i dwa procent... a mój Janek to jej się z pewnością podoba... mam jego deklarację na piśmie.

Otóż tak sobie rozmyślając nasz poseł kandydata, który chciał swoją pieczęć upiec przy ogniu komitenta

szedł bardzo zamyślony po ulicy, szukając wzrokiem spacerujących matki i syna.

— Wiesz, Maryniu — rzecze Julia do wchodzącej pokojówki—ubawiłam się jak dawno nie pamiętam... Cha, cha, cha, jaka to szkoda, że Walenty nam przerwał... Chociaż to jeszcze nie koniec przedstawienia. On sam nie jest konkurentem, to tylko faktor, poczekaj, przyjdzie tu zaraz nasz pretendent...

— Ach, proszę panienki—odzywa się Marynia — jestem „zalternowana” na tego Walentego jak niewie- dziec co... ja mu to wszystko odwdzięczę!

— Widać cię kocha prawdziwie, skoro taki zazdrosny...

— Co mi po jego, z przeproszeniem, głupim kochaniu! zawsze ten Wykrętalski coś lepszego niż lokaj... Ma dom... nie wiem jaki to tam dom, ale zawsze choćby malutki nawet, to dom...

— Maryniu, to nie jest żaden dom do mieszkania—mówi, śmiejąc się Julia, z zamiarem wyłożenia jej znaczenia firmy domu handlowego, gdy otwierają się drzwi i wchodzi otulona w salopkę, z zarumienioną twarzą i książką do nabożeństwa, pani ciotka.

Pierwsza rzecz, która zwróciła jej uwagę, był niezwykle strój Maryni.

— Co to jest? co ja widzę, Maryniu! Jakiś fioki na głowie, suknia Julii z ogonem... A to co znowu, panna w kusej spódnicy pokojówki. Miłosierdzie Boże, komedia znowu jakaś, czysta komedia... Ta dziewczyna do grobu mię wpędzi. Marysiu, zdjęć mi to zaraz!

— Ależ, ciociu kochana, ja jej darowałam tę suknię.

— A ja na to nie pozwolę—mówi ciotka, zdejmując salopę i składając książkę od nabożeństwa na stole.— Dziewczyna i tak ma już przekręcone w głowie. Widzicie ją, suknię z ogonem... jeszcze czego...

— Mówię cioci, że darowałam—odzywa się Julia stanowczo — sądzę, że mam prawo rozporządzać moją własnością.

— A ja ten ogon obetnę!

— Ciekawam—wtrąca dość śmiało Marynia—dlaczego ja nie mogę mieć sukni z ogonem?

— Dlaczego, dlaczego?—powtarza z gniewem ciotka, zbliżając się przed same oczy Maryni. —

Patrzcie jak już zhardziała! Dlatego, że ja jestem i starsza i coś> lepszego od ciebie, a patrzaj, mam ogon, co? Patrzaj, mam warkocz, mam kok? Moja Julciu, jak można tak psuć tego latawca. Zdjąć mi zaraz! Żebyś była na dzisiejszem kazaniu, tobyś wiedziała, jakto ksiądz piorunował na zbytki. Wszystko ci płakało... Mówię wam, taki był lament w kościele jak na sądzie ostatecznym...

— Proszę pani — przerywa te gderania pokojówka.—Ktoś dzwoni w przedpokoju.

— A idźcież przebrać się natychmiast—woła staruszka, wypychając prawie obie dziewczyny do sąsiedniego pokoju — pewnie to pan Seweryn... Maryniu,, niech tam Franciszek otworzy... Natrę uszu temu panu narzeczonemu, dlaczego on moje dziecko tyranizuje..

Tymczasem zamiast spodziewanego Seweryna, wchodzi z całym impetem maleńka, szczupłutka, pretensjonalnie ubrana kobiecina. Duży nos sterczy przed małym rondem kapelusza, a wielkie pióro kogucie naprzód skrzywione, nieustannie muska poorane starością.

policzki. Za nią młody blondynek z miny i czupryny czysty syn Albionu, zdaje się żywcem zdjęty z humorystycznych winiet „Journal Amusant” — dalej jeszcze we drzwiach znajomy nasz Hipolit widocznie zmieszany obecnością staruszki, której się tu zastać nie spodziewał.

— Panie Janie—szepcze blondynkowi—ja tu zostanę w przedpokoju na wszelki wypadek... proszę atakować odrazu, panna jak anioł, posag okrągłutko sto tysięcy...

— Przepraszamy panią — odzywa się w dygach przybyła — tu jest podobno mieszkanie do wynajęcia... Co ja widzę — woła po chwili, rzucając się na szyję ciotki— jak Pana Boga Kocham, a toż to moja droga Py- sznicka!

— Sędzina Osełkowska... droga Basia! — odpowiada uradowana ciotunia, powtarzając całusy bez liku...

— Jaki cud!

— Jaki szczęśliwy wypadek... siadajcież, siadajcież—dodaje uśmiechnięta ciotunia.

— Mój syn Jan, pamiętasz, ten mały złotowłosy

Jaś...

— A niechże go uściskam... pójdz Jasieczku, nie bój się starej baby... Cóż to za ładny chłopiec wyrósł z piego. Dalibóg nie poznałabym — mówi, całując go w pachnącą głowę. Co wy tu robicie w mieście?

— My tu zjechali na mieszkanie; stary mój umarł, wiesz? Majątek, powiem ci otwarcie, trochę zaszargał na tym urzędzie honorowym... puściłam Małe Grzechotki w dzierzawę... A Jaś, mój koteczek podróżował ciągle po świecie i chciałabym, aby się tu u nas rozpa-

trzymał... Boję się — dodaje ciszej — puścić samego; czas mu dobrać żonę po mojej myśli... A ty co?

— Ja tu z pułkownikiem i jego wnuczką, pamiętasz Juleczkę, z którą spotkałyśmy się dziesięć lat temu na odpuscie...

— A, a, a, przypominam sobie, ta bledziutka...

— Jak teraz wyładniała, moja droga, anibyś jej nie poznała... Czekaj, czekaj, zaraz ci ją przedstawię... Maryniu, Maryniu!—woła, uchylając drzwi sąsiedniego pokoju — proś-no panienki, aby tu przyszła do nas... Tylko jaką mam z nią biedę, to niech Bóg Najświętszy broni.

— Cóż to za biedę, moja droga? — pyta ciekawie sędzina, zbliżając swoje krzesło do krzesła ciotki.

— Strasznie to rozpieszczone, roztrzepane—mówi ciocia do przyjaciółki — pułkownik pojechał za granicę na kurację i zostawił nas tutaj z narzeczoną...

— Co, idzie już za męża?

— Miała iść za Seweryną Podgórskiego... i wystaw sobie, kochana Basiu, pokłócili się przedwczoraj, ale tak się pokłócili, że zerwali... Ja miałam pisać do pułkownika i zbieram się i zbieram się...

— To jeszcze nie wielkie nieszczęście, taka bogata panna—przerywa sędzina.

— Sto tysięcy guldenów gotówką po matce...

— Ładna sumka...

— Dwie czyściutkie wsie po dziadku dostanie... i znasz w jakiej ziemi.

Rozmowa ta ożywiła angielską twarz pana Jana, pożądliwy błysk oczu na cyfry gotówki i wiosek zwrócił w stronę rozmawiających kobiet.

— Eh, Basiu — odzywa się pianissimo słowiczym

głosem pani sędzina—gdyby też po naszej starej znajomości, mojego Jasia zaprotegować, co? Pamiętasz, jak zawsze byliśmy w przyjaźni jeszcze na pensji p. Smolińskiej w Kutnie... Żeby tak zbliżyć młodych?... Spójrzyno na Jasia? No i cóż? walny chłopiec; po francuzku ci panie expedite, po włosku expedite... Gra, śpiewa, tańczy... a szalone ma szczęście do kobiet. I dlatego właśnie pilnuję go jak oka w głowie.. No, cóż się zamyślasz, Basieczku, co? zrób to dla starej przyjaciółki. Jakby nam to kiedyś było przyjemnie, tak usiąść razem przy stolyczku... ogień bucha na kominku, kawa pachnie... bułeczki trzeszczą przy łamaniu, a my o dawnych czasach gadu, gadu...

— Możeby to i nie źle — przerywa zamyślona i oczarowana tą miłą perspektywą ciotunia — tylko ten pułkownik...

— Et, co tam mężczyzna znaczy! Jak my uradzimy i panna się zgodzi, to on nic nie może. Osełkowscy, wiesz przecie, dobra familia, Grzechotki Małe... tylko nie myśl, żeby one były małe, one są wielkie, tylko się tak fatalnie nazywają... Mój był sędzią pokoju, mnie rodzi Kozikowska, chłopiec ma szyk...

— Trudna to sprawa — odzywa się prawie zdecydowana ciotunia—trudna, jednak spróbujemy.

— Jasiu, Jasiu... pójdz tu! — woła uszczęśliwiona sędzina — słyszysz, pani Pysznicka przyrzeka cię protegować do panny... Jakże jej to na imię?...

— Julia.

— No, podziękujże, czego tak stoisz jak kamień?

— Do śmierci będę wdzięczny kochanej pani— przemówił Jan, całując w rękę ciotunię, a jednocześnie pomyślał: Głupstwo się zrobiło, dając temu fakto

rowi deklarację na dwa procent: dyabli wiedzieli, że to znajomość...

— Siadajno tu przy nas, bliżej — mówi sędzina, głaszcząc syna po głowie—trzeba coś uradzić.

Widzisz, moje dziecko, to los dla, ciebie.

— Ja, nie chwaląc się — dodaje ciotka — mam wpływ na nią, ale trzeba, panie Janie...

— Mów Jasiu, Jasiu—dorzuca matka.

— No, Jasiu, żebyś się jej starał podobać, i to bardzo prędko, bo jak pułkownik przyjedzie, to gotów ich pogodzić z Sewerynem.

— Eh, to najmniejsza rzecz — odpowiada z całą pewnością siebie — żeby nie wiedzieć jaka była, to musi mię pokochać.

— Nie bardzo ufaj, Jasiu — przestrzega ciotka— bardzo dobra, z najlepszym sercem dziewczyna, ale kapryśna jak mała. Tylko stroje, tylko bale, teatru, spaceru... o tem myśli, o tem marzy...

— I na to mamy sposoby — wtrąca z tą samą pewnością Anglik—pochlebiać tylko, nic innego tylko pochlebiać, chwalić, adorować! Kobiety bez wyjątku nadzwyczaj czule na wszelkie pochlebstwa.

— To, to, to... ona lubi...

— A nie mówiłam?—przerywa sędzina — powtarzam ci, hultaj chłopiec okrutnie sprytny. Jeszcze to małe było. a już jak przylepka..

— Coś nie widać mojej panny Julii — pozwólcie, ja pójdę sama po nią. Spodziewając się tu młodego ka- , walera, niezawodnie stoi przed lustrem.

— A my później... słuchaj no Basiu—woła sędzina za odchodzącą—wyjdziemy sobie niby obejrzyć mieszkanie, zostawimy ich samych... Jasiu pamiętaj...

— A co, nie idzie ci szczęście w rękę? — mówi Osełkowska do syna. — Nie trzeba to losu, abym spotkała Pyszniczkę, co? Ograniczona baba, śmieszna, służąca, ale może pomódz. Tylko wiesz Jasiu, szkoda, że się ten faktor wmięszal.

— A nie sprzeczałem się z mamą, po co szukać faktorów, co? Ale mama musi się zawsze swoim rozumem rządzić, zawsze mamie pilno, teraz niech mama mu płaci dwa procent.

— Serce moje, tu nie było co czekać. Grzechotki wystawione na sprzedaż za Towarzystwo kredytowe, jak za dwa miesiące nie będzie sześciu tysięcy... pójda do ludzi.

— Pal dyabli Grzechotki! — rzecze z lekceważeniem f pan Anglik — od urodzenia samego tylko mi w uszach grzechoczą. Za sto tysięcy można sześć takich Grzechotek kupić...

— I ty myślisz, że się uda?

— Hm — odpowiada opryskliwy synek. — Mama tylko zawsze, czy się uda. Zapewne tam gdzie mama rządzi, to się nigdy nie uda, ale tam gdzie ja, to się zawsze uda, a nawet mówię mamie, że się już udało...

— A ty niewdzięczniku jakiś... nieustannie masz do tej matki jakieś pretensye... Pójdźże, niech cię uściskam!

— Mama to nawet całować po ludzku nie umie — dąsa się Anglik synalek, poprawiając zmięty nieco przy całowaniu róg kołnierzyka. — Na co te karesy, dotąd nie może mama pozbyć się tej kutnowskiej parafiańszczyzny całowania. Eh, do dyabła—mówi dalej, zbliżając się do lustra—lewy kołnierzyk na nic, a stał czysto po angielsku.

Rozmowę matki z synem przerywa Pysznicka, pro-, wadząc pod rękę nad podziw bardzo skromnie przystrojona panienkę.

' — Moja wycliowanica i moja pieszczotka Julia! A to dawna koleżanka z pensyi, sędzina Osełkowska z Małych Grzechotek... to syn jej, pan Jan...

Nastąpiły ceremonialne i poważne ukłony stron obydwóch...

— Nie przesadziłaś, kochana Pysznisiu, panna Julia wyrosła na cud panienkę — rzeknie z zachwytem sędzina, gdy syn jej pozując zawsze na Anglika, przybierał odpowiednią do przyszłej batalii pozycję.

— Pozwól się, kochanie moje, ucałować... jakie to śliczne stworzenie... Mój Boże, jaki wdzięk! — kończy sędzina, cmokając Julię w oba policzki.

— Ta matka niepoprawna — syczy do siebie obu* rżony kandydat—dopiero co mówiłem o całowaniu...

Pan Jan przysuwa krzesło, towarzystwo rozdziela się na dwie grupy: Julia i Jan przy jednym stoliku, dwie starowiny przy drugim na jednej kanapce.

— Pan dawno u nas w mieście?—pyta Julia.

■— Od trzech tygodni, pani... ale jestem zachwycony naszą stolicą. Najeździłem się dosyć po za granicami kraju, i nie mówiąc o innych pięknościach, jednak tyle pięknych kobiet jak u nas, niema na całym świecie. Oo za szyk, co za wdzięk — dodaje, ogarniając spojrzeniem swoją sąsiadkę...

— Widocznie, pan, tylko na kobiety zwracasz swoją uwagę...

— Czyż wobec pań można widzieć co innego?

— A co, a co? — mówi ciszej sędzina, trącają⁰ ciotkę.

- Tęgi chłopiec, szarmancki...
- Dziwna rzecz, jak różne są gusta panów — prowadzi dalej Julia, bawiąc się jakąś ryciną wziętą ze stołu — przed dwoma dniami jeden pan mówił mi, że kobieta stworzona jest do obowiązków...
- Barbarzyniec! — przerywa Jan. — Jaki? naj- powabniejsze stworzenie boskie, kobieta, ideał piękna całej natury, ma być sprowadzona z tego piedestału, dla zadośćuczynienia nędznym potrzebom codziennego życia?
- W żadnej książce jeszcze tego nie czytała — mówi do sędziny ciotunia.
- Ja ci mówię — odpowiada ciszej sędzina — w kącie wszystkie książki przed moim Jasiem.
- Pan jesteś poetą... — rzecze Julia. — Żal mi pana...
- Tak, pani; jeżeli cześć dla piękna stanowi poe- zycję, to jestem poetą. Żal pani będzie dla mnie tylko zaszczytem... ostrzeżeniem, wykazującym szlachetną stronę jej serca... Jednak nie zejść z tej drogi. Wiem i dobrze wiem, że mogą mnie spotkać rozczarowania bez końca...
- Panie łaskawy, życie jest to twarde i ciężki obowiązek — przerywa Julia widocznie zadziwiona lepszą deklamacją, niż to na anonsowego konkurenta przystało i z zamiarem stawiania opozycji.
- Nie uwierzę, aby to były przekonania pani — odpowiedział na ekspektorację Julii pan Jan. — Nie wierzę, patrząc na anielską postać pani, na te oczy, z których bije źródło czystego szczęścia, rozkoszy, wesela, swobody...
- Zawiele, zawiele, na miłość boską! — woła Julia, machając trzymaną w ręku ryciną. — Złym pan je-

•steś fizyjonmistą... jestem sobie zwyczajna, kapryśna, prozaiczna dziewczyna; prawda, ciociu? czasem zła, dokuczliwa, roztrzepana.

— A nie cenzurujże się tak, droga moja Julciu— mówi ciotka.

— I dodaj pani — wtrąca Jan — że chcę się taką przedstawić. Ale to nie zmieni mego przekonania. Wszystkie wady, jakie sobie pozwoliłaś pani przypisać, wyjdą na moje. W naturze ma wszystko swoją rację bytu. Kontrasta stanowią harmonię piękna. Czemże byłby wdzięk kobiety bez kaprysów? Błada i nużąca jednostronnością, prawda? Cukierki bardzo nam smakują, ale nie zawsze...

— Co prawda, to prawda — przerywa ciotka — mnie najczęściej zęby od nich drętwieją...

— A ja, moja Basiu, pamiętasz, od dzieciństwa miałam wstręt do łakoci. Mój Jaś, widać, w tem jest mojej natury.

— A cóż pan powiesz o zbytkach, o strojach kobiet? — mówi dalej uśmiechnięta Julia z tego nawiasu sędziwych matron z kanapy. — Czy i to przymiot kobiety, który w dzisiejszych czasach rujnuje całe familie?

— Daruje pani — odpowiada Jan — w tem nie mogę być bezstronnym sędzią. Sam jestem zwolennikiem mody, i każdego, co ma na to, usprawiedliwiam. \Dla mnie kobieta w zaniedbanym stroju przypomina aniołów strąconych... Piękność powinna piękno otaczać.

— Widzę, że nie przekonam pana... w'zględem kobiet jesteś pan optymistą — rzecze Julia.

— Przepraszam cię, droga Juleczko, pan Jan jest dziedzicem Grzechotek Małych—mówi ciotka z powagą*

— I syn byłego sędziego pokoju — dodaje matka.

Lecz spostrzegłszy surową minę synalka, powstaje nagle, proponując Pyszniczkiej obejrzenie mieszkania i objaśniając Julię, że to był pierwsiastkowy cel ich tutaj obecności.

Żegnając wzrokiem wychodzące kobiety, nasz bohater konkursowy zbiera cały zasób swoich zdolności podbojowych, aby jednym śmiałym zamachem przeskoczyć Rubikon. Tymczasem Julia wstawszy z krzesła i przybrawszy minę jak można poważną, pyta młodego konkurenta:

— Powiedz mi pan otwarcie, dlaczego pan przy takich swoich zasadach i edukacji, która mu pozwalała mieć wstęp do najpierwszych towarzystw stolicy, udałeś się do pomocy takiego Hipolita?

Na chwilę zdawało się, że zdziwienie i wstyd młodego człowieka, jakie go ogarnęły po takim zapytaniu, rzucą nim o ziemię; lecz sztywny Anglik tylko się otrząsł febrycznie, i nie tracąc miny, odparł cios nowym argumentem, popychającym akcyę dalej.

— Pani, racz darować mój postępek! Od dwóch tygodni śledzę każdy krok pani... Nazwiesz to z mej strony zuchwalstwem, jednak ja powiem prawdę: boski obraz pani nie daje mi pokoju; nie wiedząc o znajomości mojej matki z opiekunką pani, chwyciłem się rozpaczliwego sposobu zbliżenia się do przedmiotu moich marzeń, mojego ideału, przed którym nie wypada mi, jak tylko ugiąć kolano i prosić o przebaczenie...

— Za pozwoleniem pana... za pozwoleniem—przerzywa z szyderczą miną panienka. — A zkąd pan wiedziałeś, że ja właśnie przeczytam pański anons w gazecie?...

— Zginąłem! — pomyślał sobie pan Jan z Małych

A. Wilczyński.-Tom IV.

Grzechotek, i nie tracąc miny, pomimo że grunt usuwał mu się pod nogami, rzecze: — Prawda, zrobiłem źle; jest to szal młodości, jednak wina nasza jest wspólną. Pani postąpiłaś również lekkomyślnie...

— Kto pana o tem zapewnił? — pyta obrażona Julia.

— Jakto? Wszak Wykrętalski był tutaj i uzyskał pozwolenie pani...

— Pan się mylisz — rzecze z powagą Julia — ten jegomość w błąd go wprowadził. Byłam wprawdzie przy rozmowie jego z moją pokojówką...

— Wszak pani pisała wiadomy list?

— Ja? dziwi mię, że pan nawet przypuścić to możesz. Pisała list garderobiana moja, Marynia Mroczek, i to pisała na żart. Dlatego żał mi pana, że się oddajesz w ręce spekulantów i imię swoje, tudzież szanownej matki narażasz na taką kompromitację... Zegnam pana! — kończy, kłaniając się ceremonialnie, i niknie w przyległym pokoju.

— Ach, łotr, zdrajca! — krzyknie nasz bohater na całe gardło — nauczę ja cię żartować!...

I szukając po krzesłach swego kapelusza, zabierał, się do wyjścia, nie zważając, że matka z Pysznicką jeszcze nie powróciły z procesyi po mieszkaniu.

Wtem jakiś niezwykły hałas dał się słyszeć w przedpokoju, i nim pan Jan mógł zdążyć ku drzwiom wchodowym, otwierają się te drzwi z łoskotem i sam winowajca Hipolit wpada na środek pokoju.

Za Hipolitem wchodzi szybkim krokiem stary, posiwiały, z marsową twarzą mężczyzna; wchodzi rumiany od gniewu, z pałającym wzrokiem, a zawieszona przez

ramię torba podróżna, przy jego gwałtownych ruchach przeskakuje z jednej strony na drugą.

Na ten krzyk i harmider pokazuje się z jednej strony Piotr kucharz, z drugiej Pysznicka z sędzią,

— Pan pułkownik! — zawoła Pysznicka. — Najśłodszy Jezu! tak niespodzianie!

A do Osełkowskiej pocichu:

— "Wychodźcie, wychodźcie czempredzej, będzie awantura!

— Stać tu! — krzyknie przybyły, biorąc za ramię Hipolita, a swoją osobą we drzwiach zasłaniając

odwrót.

Zgarbiony naczelnik domu wywiadowczego kompletnie stracił przytomność.

•— Mów, co ty tu robisz?

— Jaśnie wielmożny pułkowniku, ja tego,, pozwól;..

— Co to za człowiek?—pyta przerażona ciotka — zkąd on się tu wziął, na rany boskie, to pewno

złodziej...

— Przepraszam — odpowiada obrażony Hipolit— jestem właścicielem domu komisowego!

— Znam ja twój dom komisowy, urwiszu!—krzyknie pułkownik, potrząsając go za ramię. — Gdzie moje dwieście rubli!... gdzie moi ludzie sprowadzeni przez ciebie do robót?...

— Jaśnie wielmożny panie, daruj!... ja oddam, jak honor kocham, oddam... Zawiedli mię górale... oszukali...

— A widzi mama, co, nie mówiłem? — szepnie do ucha sędziny zatrwożony bohater. — Proszę pamiętać, nie znamy tego człowieka.

— Powiedz mi zaraz — krzyczy pułkownik — co ty tam robił w przedpokoju?

— Czekałem, jaśnie wielmożny panie... Ja mam kantor...

— Piotr! — woła pułkownik.
— Znam go, znam — odpowiada służący, zbliżając się do pułkownika.
— Zawołać policyi!
•— Jaśnie wielmożny panie — błaga przelękniony Hipolit — na co policyi, ja powiem wszystko... tu niema żadnych tajemnic. Mam list panienki...
— Której panienki? — pyta pułkownik.
— Co chciała męża...
Osełkowska i ciocia krzyknęły naraz.
— Wypadnie się pojedynkować, niema rady... — powtarza sobie cicho pan Jan.
•— Piotrze — mówi pułkownik, zwracając się do lokaja — pilnuj mi tego człowieka; albo on zwaryował, albo rozbójnik... Trzymaj go!
— A widzisz, ptaszku, nie leż w pułapkę! — dodaje Piotr, biorąc go za rękę.
— Mam dowody, jaśnie wielmożny panie! — krzyczy już z gorączkowym pośpiechem, wyjmując z bocznej kieszeni plik papierów. — Tak, tak, jest tu... ot ten... Zaraz ja wyjaśnię wszystko i powiem prawdę, jak na świętej spowiedzi... Ot ten pan — mówi, wskazując na Jana •— chciał się żenić; kazał mi ogłosić w „Kuryerze...” zaraz, zaraz, jest tu i ten numer „Kuryera.”
— Bredzisz, bredzisz, wszystko to kłamstwo! — rzece pułkownik. — Piotrze, nie puszczaj go!
Gdzieżby się znalazł taki bałwan, któryby przez gazety szukał sobie żony.
— Ma rację pan pułkownik — dorzuca Piotr.
— Mam tu i jego korespondencję i deklarację- Na to panienka napisała list... Ot tu, że chce go poznać...

- Kłamiesz, gdzieżby się znalazła tak bezczelna kobieta...
 - ¹ Proszę jaśnie wielmożnego pana czytać... jest, stoi Maryanna Mroczek.
 - Prawda—mówi pułkownik, oglądając pismo — Maryanna Mroczek.
 - A co, czy ja kłamię?
 - Ja zawsze mówiłem "Walentemu, że ta dziewczyna sprowadzi jakie nieszczęście... — dogaduje Piotr,
 - A niechże cię siarczyste, ogniste bomby zatrząskają! — krzyknie pułkownik, zwracając piorunujący wzrok w stronę ciotki. — Jako? w moim domu? Py* sznicka, co się toaczy? od czego ja cię zostawiłem, gdzieś ty była?
 - Na nieszporach, panie pułkowniku.
 - A żebyś ty milion fur beczek zjadła z twojemi nieszporami! Herezye się tu dzieją, herezye!
 - Jaśnie panie pułkowniku — błagalnym tonem mówi Hipolit — cóż ze mną?
 - Piotrze! — krzyknie, trzęsąc się od gniewu pułkownik — zrzuc go ze schodów, niech łamie kark!
- A zwracając się do Jana przybierającego poważną minę, pyta:
- A wasze co za chłystek?
 - Jan Dołęga Osełkowski—odpowiada czupurnie.
 - Syn sędziego pokoju i dziedzic Małych Grzechotek — dodaje sędzina.
 - Pysznicka, słuchajno, co to za Oślikowski? Co to za koczkodan ta baba?...
 - Osełkowski — poprawia oburzony pan Jan.
 - Milcz błażnie konkursowy! — krzyknie mu nad

uchem pułkownik — mówię Oślikowski, to Oślikowski,
do milion fur beczek!

— Panie pułkowniku, będę żądał satysfakcji, ta
jest niegodnie...

— Piotr! — woła pułkownik.

— Słucham pana.

— Daj temu sowizdrzałowi satysfakcję i wyrzuć za drzwi.

Piotrowi nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu — bez coremonii zagarnął oboje ręką, wyprowadziwszy z pokoju i nie zważając na groźby, które w urywanych słowach: „wyzywam, zabiję na śmierć, brutal... niedźwiedź...” dolatywały z przedpokoju, zamknął drzwi na klucz za niemi.

Pyszniczka naprawdę zemdląca.

"W pół godziny potem, prawdziwy sąd ostateczny odbywał się w gabinecie pułkownika. Stary weteran neapolitańskiej epoki, prawie zgrzybiały starzec, nie posiadał się z gniewu: „Ot tak zostawić baby same na kilka godzin—przewrócą świat do góry nogami. A i ten Seweryn ślamazarny, niezdara... oni dzisiaj umieją tylko płakać i pisać... panna Julia zerwała...” A żeby cię milion kartaczów, co to zerwała? Ja-bym jej dał zerwać... Nie ustąpię i basta! Tak mnie przestraszył, że nie mogłem dopić kufła Miihlbrunu i lecę na złamanie karku. No, cóż? Jestem, a tu nowa historia!... Dom pełen gachów z gazety! I to stare, głupie, ograniczone ciotczy- sko... Na nieszpory chodzi baba... dam ja ci nieszpory... Ten zaś sowizdrzał Marysia, tu do mojego domu sprowadza jakichś urwipolciów... Paradny ten z rozlupaną głową, ten sędzic jakiś. Bo to uczesał sobie głowę na środku, niby drogę dla... on mnie na pojedynek... A ty sm... jakiś, ty śmiesz mnie, dowódcę pułku, który pod Ar... Si... Sur... Ob... ochraniał swoją piersią wielkiego Napoleona, ty śmiesz mi grozić pojedyńkiem?! Jak Pana Boga kocham, świat dzisiejszy waryuje... Urwisz nie wart złamanego szeląga... hołysz z pod czarnej gwiazdy, szukający żony z gazety... ja tobie dam saty- sfakcję...

— Piotr!—krzyknie, zrywając się z krzesła.
Wyprostowany jak struna, zjawia się przy drzwiach
dawny wachmistrz trzeciego pułku ułanów.

- Jestem na rozkazy.
- Co ty radzisz?
- Panie pułkowniku, jak mam rozumieć to pytanie? czy po służbie?
- Po służbie.
- Zrobić sąd wojenny!
- Kzeczywiście nie wypada inaczej. Ale kompletu niema—odpowiada pułkownik,
- Wezwać kapitana Sokolnickiego.
- To rekrut z 1831 roku — rzecze pułkownik — oni stracili tradycje naszej służby. Jednak cóż robić,
naj bezrybiu i rak ryba... Wezwać kapitana!

Piotr zrobiwszy pirueta na lewo w tył, wyszedł z gabinetu pułkownika.

— Julka! — krzyknie znów pułkownik, uchylając drzwi na lewo.
Za chwilę wchodzi panna Julia, zmieszana nieco i przestraszona, staje we drzwiach w postawie nadzwyczaj
pokornej ze spuszczeniem na dół oczyma.

- Nie umiesz przywitać wuja!

Julia całuje w rękę pułkownika, a ten zawsze z poważną miną całuje ją w głowę.

- I cóż?—pyta stary patrząc jej w oczy.

Julia milczy.

- I cóż, pytam?— podobało się pannie odprawić 1 narzeczonego, hę? Nudny, pedant... a panna
chciałabyś letkiewicza z rozlupaną głową, może takiego jak tu był przed chwilą, co?
- Nie, proszę wuja — odpowiada z powagą J^u

lia—ja chcę, żeby narzeczony, przynajmniej dopóki jest narzeczonym, nie tyranizował mię.

— Jakto? Seweryn zapomniał...

— Dowód najlepszy, że mię oskarżył przed wujem i spowodował tak nagły jego przyjazd.

— Hola panno, hola, czytaj!—mówi, podając jej papier—człowiek, który pisze: „uważam za obowiązek uwiadomić pana pułkownika, że nie mogę nosić dalej tytułu narzeczonego panny Julii, bo nie potrafiłem zasłużyć na jej zaufanie...”

— Hipokryta!—mówi Julia, oddając papier.

— Uczciwy człowiek i delikatny.

— Może być, nie zaprzeczam: lecz i ja mam prawo do pewnych względów...

— "Więc powiedz mi, Juleczko — mówi już łagodniej pułkownik, sadzając ją obok siebie na szesłagu — o co wam poszło?

—■ Alboż ja wiem o co!... Przyszedł czegoś skwaszony; ja mu pokazałam rysunek kapelusza, prosząc żebyśmy wstąpili do sklepu i kupili taki, a on wystąpił z morałami, że ja jestem dziecko, jestem cacko... że mnie nie wiedzieć co...

— I cóż dalej, co dalej?...

— Powiedziałam mu więc, niech sobie szuka mądrzejszej żony.

— Hm... ostro powiedziałaś... ma rację, ostro!

— Proszę wuja, ja nie umiem inaczej... jestem kobietą...

— Et, gdzie ty tam kobieta!

— A cóż?

— Dziecko, moja Julciu, dziecko...

— Mając lat siedmnaście...

- Naturalnie, że dziecko.
- W takim razie, to najlepiej nie wydawać mię za mąż, ale na pensję jeszcze...
- I cóż dalej?
- Nic... Powiedziałam mu, że się nie pozwolę tyranizować ani teraz ani później... uklonił się i poszedł.
- Jakto? nie przeproszał cię nawet?
- Ani słowa nie mówił. Żeby przynajmniej dla ceremonii przeprosił, ale nic; jak kamień twardy,
- Hm, hm... —powtarzał pułkownik, chodząc po gabinecie—hm...

Wtem zjawia się wezwany kapitan, członek przyszłego sądu wojennego, człowiek lat może sześćdziesięciu, wystrzyżony, wygolony, uczerniony i z miną subordynacji wojskowej salutuje pułkownika.

■— Jak się masz, bracie?

- Zdrow, do usług pułkownika.
- Siadaj kolego, mam prośbę do ciebie; będziesz miał udział w sądzie wojennym.
- Prośba pułkownika, to rozkaz. Jestem gotów.
- Piotr! — zawoła pułkownik, a gdy ten pokazał się we drzwiach, dodaje:—przyprować

obwinione.

- Czy obie?
- Obie.

Julia zrobiła wielkie oczy, usłyszawszy wyraz „obwinione” i zabierała się do wyjścia; lecz pułkownik zatrzymał ją za rękę, dodając:

- Zostań, proszę cię, zostań, ta sprawa prędko się skończy.

Za chwilę, z drzwi na lewo wchodzi: zapłakana ciotka z chustką przy oczach, za nią z dobrą miną Ma

rynia, a w końcu Piotr z powagą wielkiego człowieka, w którego ręce złożono los tych dwojga delikwentek.

— Kapitanie, zajmij swoje miejsce i bądź łaskaw przyjąć obowiązek audytora. Piotrze! Zamknij drzwi na klucz i siadaj tu przy stole. Sąd w komplecie, ja oskarżam,

— Panie pułkowniku—odzywa się ciotka szlochając—ja byłam w kościele.

— Imość nie odpowiadasz mnie, ale przed sądem: rozumiesz?

— Nie znam żadnego sądu; jestem na służbie u pana pułkownika i przed panem pułkownikiem odpowiadam.

— Wachmistrzu! ta kobieta w obec sądu jest zuchwałą, aresztować ją!—rzecze z powagą kapitan.

Piotr zrywa się z krzesła i przystępując do ciotki, rzecze:

— Oddaj swoją szpadę!

Julia i Marynia nie mogą powstrzymać śmiechu, czem obrażony Piotr, staje z natarczywą miną przed ciotką, powtarzając:

— Oddaj swoją szpadę!

— Piotrze, co tobie?—pyta pułkownik.

— Aresztuję. A jakże inaczej?

— Gdzież kiedy widziałeś albo słyszałeś, żeby kobiety miały szpady...

— To chyba traktować ją jako rekruta...

— Poczekaj!—szepnie mu z tyłu Marynia—da ona ci szpadę, jak będziesz chciał kawy.

Piotr udał, że nie słyszy tej uwagi, tylko z solenną miną powtarza do ciotki:

— Asani jesteście aresztowaną!

— Eóbcie państwo co chcecie ze mną! —rzecze z desperacją, załamując ręce ciotunia — ja jestem niewinna, jak Bóg widzi, niewinna.

— Oskarżam — mówi doniosłym głosem pułkownik, wstrzymując widocznie śmiech igrający na ustach— że stojąca tu Jadwiga Pochlebnicka, zostawiona przeze- mnie jako ochmistrzyni i plenipotentka do zarządu domem i tem wszystkim, co się tu znajduje...

— To też nic nie zginęło! — przerywa z płaczem ciotka.

— Milczenie!—zawoła kapitan—asani potem wypowiesz swoje.

— Nie przerywać! — dodaje Piotr—bo drugi raz będę aresztował.

— Nie wypełniła swoich obowiązków, dopuściwszy tej oto drugiej oskarżonej Maryannie Mroczek, sprowadzić do mego domu różnego rodzaju hołotę.

— Przepraszam pana pułkownika, pani sędzina Osełkowska nie jest hołotą żadną... to moja przyjaciółka.

— Hołotę—mówi dalej pułkownik—jako to: Hipolita Wykrętalskiego, znanego oszusta i stręczyciela sług, tudzież niajakiego Oślikowskiego, kandydata do stanu małżeńskiego, który przez ogłoszenia w gazetach czynione, małżonki szukać sobie postanowił... i dom mój splugawił.

Kapitan i Piotr spojrzeli na delikwentki z miną przestraszoną.

— Panie audytorze—proszę rozpocząć badanie!

Kapitan wyprostował się jak struna, i szukając pod ręką papieru i pióra, jakby się chciał przygotować do pisania, spytał delikwentki:

— Jak się nazywasz?
— Jadwiga Pochlebnicka.
— Gdzieś się urodziła?
t— W Ulęgałce na Podlasiu.
•— Ile masz lat?
— Czerdzieści.
— Oponuję! — przerywa Piotr — trzydzieści dziewięć służy już u pana pułkownika, a nie mogła wstępować do służby mając rok jeden.
— Słusznie — wtrąca kapitan—delikwentka kłamie, a zatem na wiarę nie zasługuje. Co masz na swoje usprawiedliwienie?
— Byłam na nieszporach... Panowie żarty sobie ze mnie robicie... a ja nic a nic nie wiem. Przyszłam z nieszporów i zastałam tę oto Marynię w sukni panienki, tej popielatej z czarnymi plisami i z ogonem... kok miała na głowie. Więc wykrzyczałam, wykrzyczałam..., panna Julia poświadczy... Jeszczem nie zdążyła rozebrać się, gdy przyszła obejrzyć mieszkanie, które jest do najęcia, pani Osełkowska, sędzina pokoju, dziedziczka Grzechotek Małych... a nie żadna hołota.
— Pułkownik powiedział, że hołota, to asani nie wolno zaprzeczać—wtrąca Piotr.
— Pst!—odzywa się pułkownik, machając ręką.
— Osełkowska jest moja znajoma jeszcze z pensyi, więc gadu, gadu...
— A ten Hipolit w przedpokoju? — pyta pułkownik.
— Anim wiedziała, że jest jaki Hipolit! bodaj on nie żył na świecie! Zobaczyłam go dopiero, jak go pan, pułkownik wepchnął do pokoju.
— Dostyc, wiemy wszystko... pytać drugą!

- Maryanno Mroczek — rzecze kapitan — co powiesz na swoje uniewinnienie?
- Nic.
- Przyznajesz się, żeś pisała list do kantoru? — pyta pułkownik.
- Pisałam, proszę pana.
- A to kobieca natura przewrotna! — wtrąca Piotr — ma przecież narzeczonego Walentego, tego niby żołnierza z wojny francuskiej...
- Więc? — pyta kapitan, spoglądając na pułkownika.
- — Wydać wyrok! Piotrze, wyprowadź obwinione na ustęp, tylko zabezpieczyć, żeby nie uciekły.
- Dymisyonowany wachmistrz pokręcając węża, wypełnił rozkaz co do joty, i zamknąwszy wszystkie drzwi sąsiedniego pokoju, klucze schował do kieszeni i wrócił na naradę.
- Z powodu obecności Julii w gabinecie, która nie mogła pojąć, czy to wszystko są żarty, czyli ci ludzie tak dalece zapomnieli o terażniejszym położeniu swoim, że biorą rzecz na seryo; nasi sędziowie usunęli się w kątek pokoju, szepcząc zniżonym głosem:
 - Eozstrzelać — słychać było głos Piotra.
 - Głupiś asan — mówił pułkownik.
 - Zjadłeś zęby na służbie — twierdził kapitan — a nie wiesz, że baby boją się strzałów.
 - Zdegradować — radzi pułkownik.
 - Eelegować, nic więcej — rzecze kapitan — z uwiadomieniem po pułkach, aby jej nigdzie nie przyjmowano... to moje zdanie!
 - Więc tak — wnosi pułkownik — starą degradować na kucharkę na miesiąc, za brak przezorności...

— To jej, pan pułkownik, nic nie zrobi! Toż kucharz i tak baby z kuchni pozbyć się nie może... Dopieroż będzie pitrasić obiady, Boże zmiłuj się!

— Więc cóż?

— Powiesić...

— Hm... hm— — mruczał pułkownik. — Coś trzeba... coś trzeba...

•— Zdegradować i basta!—mówi kapitan—ale na kuchnię do pomywania.

— Wyborne! kapitanie, ty jeszcze masz najzdrowszy pogląd. Tak będziemy przynajmniej zabezpieczeni od złego jedzenia. A z tą drugą?

■— Relegować, wymazać z kontroli, tak, wypędzić na cztery wiatry!—rzeknie kapitan.

— Zdrzeć galonki... wypruć szewrony!... zapisać w rozkazie dziennym, tak! — dodaje Piotr. — Ale co jej za kara będzie?—mówi po chwili—Walenty weźmie ją zaraz, i tak weźmie...

— Miała dostać posag — rzecze pułkownik — a tak nic.

— Pozbawić praw służby! najlepiej...

— Więc zgoda, panowie?—pyta pułkownik.

— Zgoda!—odpowiadają obaj naraz.

— Piotrze! przywołaj obwinione...

— Proszę o wstrzymanie wyroku!—odzywa się naraz Julia, występując ku sędziom.

•— Łaskawa pani!—odzywa się słodziutkim głosem kapitan, z całą galanterią kawalera z czasów Księstwa Warszawskiego.—U nas protekcja nic nie znaczy. Piękne oczęta na sąd wojenny nie mają żadnego wpływu.

— Tak, tak — dodaje Piotr, pokręcając siwego

wąsa—my nie dzisiejsi przysięgli, jacyś sędziowie żury[^] jak pan pułkownik czyta... my nie żury ani barszcze...

— Ani ciotka, ani Marynia, nie są tu winne, kochany wuju. Proszę nie martwić tej staruszki, ona rzeczywiście nie wiedziała o niczem.

— Przypuśćmy—rzecze pułkownik łagodnie—ale powinna była wiedzieć, skoro jej nadzór powierzono. A Marynia?

— Ja pisałam ten list!

— Kto?—krzyknie odskakując pułkownik.

— Ja pisałam, moją własną ręką; ja podpisałam Marynię, bo rzeczywiście był to mój pomysł, i ten konkurent przychodził do mnie. Za co ma biedna dziewczyna cierpieć niewinnie!

Wszyscy trzej osłupieli. Po licu pułkownika tylko przebiegła ponsowa chmura od brody do czoła, od czoła do brody, przy której siwa czupryna i wąsy wydały się białymi jak mleko.

— Co? moja siostrzenica sprowadza tu sobie konkurentów... do mego domu; tu?!

— Zrobiłam tę niedorzeczność, wuju, przyznaję się! list możesz przejrzeć, pisany moją ręką...

— Zbrodnię!... mówię asani, zbrodnię!—woła stary pułkownik, łapiąc się za głowę... Ty, ty... córka mo-, jej siostry... panna z ucziwego domu, śmiałaś tak zhańbić poorane czoło starca? ■— kończy, przyskakując do Julii i przytykając prawie twarz swą do twarzy dziewczęcia.

— Prawda, źle zrobiłam... tak, przyznaję... że nawet o przebaczenie prosić nie mogę, ale stało się.

— Koniec świata! — krzyczał, biegając jak sza-, lony pułkownik, grożąc pięścią, a oczy mu błyskały jak

u tygrysa, a ręka pomimo woli sięgała raz po raz na lewe biodro, jakby tam szukała szpady do wydobycia. Naraz siada gwałtownie na krzesło, zakrywa twarz rękami, a łyzy gęste sączyły się zaczęły przez palce.

Julia z krzykiem rzuciła mu się do nóg. Pułkownik odepchnął ją z energią.

— Nastąpiła chwila grobowego milczenia. Kapitan wciąż osłupiałym wzrokiem patrzył na pułkownika, Piotr nie ocierał łyzy świecącej na oku, a tylko kiwał głową ku Julii ze spojrzeniem bolesnego wyrzutu, który jeszcze bardziej przygnębiał dziewczynę.

Naraz zerwie się stary pułkownik i jak lew gotowy do walki staje przed kapitanem.

— Kapitanie!

— Jestem na rozkazy — rzecze, salutując ręką starego.

— Co robi komenda, gdy pułk zagrożony?

— Idzie na przebój, pułkowniku.

— Ta dziewczyna to mój pułk zagrożony: ratuj jej honor!

Jestem na rozkazy!

— Bierz ją za żonę! Twym nieskazonym honorem ocal honor pułkownika, twem czystym imieniem pokryj winę zepsutego dziecka. Kapitanie! czy zgoda?

— Zgoda!

— Julio! — mówi gwałtownie, porywając ją za rękę i przyprowadzając przed kapitana. — Oto twój mąż! W dwadzieścia cztery godzin ślub musi nastąpić... ja się postaram o to...

— A delikwentki co? — pyta nieśmiało Piotr.

— Wykonać wyrok! — wtrąca kapitan — nie może być inaczej. Sąd wojenny nie zmienia swego zdania.

A. Wilczyński.—Tom IV.

— Tak, tak, wypędzić! Obie wypędzić-

— Pułkownik, wyrok inaczej brzmi... zmieniać nie można.

Piotr wprowadza znowu obie kobiety niepewne losu, jaki im marsowy areopag przygotował.

— Sławetna Jadwiga Pochlebnicka, panna dole-tnia, ochmistrzyni domu pana pułkownika, przekonana o zaniedbanie swoich obowiązków, po udowodnieniu takowych wobec sądu, zdegradowaną zostaje na miesiąc jeden jako pomywaczka.

— Jako żywo!—zawoła ciotka—ja szlachcianka!

— Milcz! — krzyknie, przyskakując doń pułkownik — bo inaczej posłę cię na policyę...

— Urodzona Marya Mroczek, panna, przekonana o sprowadzanie do domu pułkownika, którego była wychowanką, różnego rodzaju gachów... Czy dobrze?...

Pułkownik potwierdził skinieniem głowy.

— Gachów z ulicy — ciągnął dalej kapitan — ma być wykreślona z kontroli domu pułkownika, wypędzona jako nicpotem dziewczyna, z pozbawieniem kiedybydź prawa korzystania z posagu, jaki miała obiecany. Wyrok ten wykonany będzie w przeciągu trzech godzin.

— Słyszycie! — zawołał pułkownik; a gdy żadna nie odpowiadała, skinął na Piotra: — Wykonać!

— Kiedy Piotr wyprowadzał delikwentki, pułkownik wrócił go z drogi:

— Piotrze, jedź do magazynu panien K., niech tu przyjedzie która z nich wziąć miarę na suknię ślubną panny Julii: rozumiesz!

— Rozumiem — odrzekł stary, gdy zirytowany pułkownik trzasnąwszy drzwiami, zostawił dwojga narzeczonych w gabinecie.

Julia siedziała na krześle, zasłaniając twarz rękami. W głowie nie mogło się jej pomieścić, żeby rozkaz pułkownika brać na seryo.

— Niepodobna — myślała sobie — żeby mój los, znoję przyszłość całą, związać z tym starym, pretensyjnym i dzieciniałym kapitanem. Niepodobna!... Ale mówił to tak. seryo... Uledez, czy stawić opór?...

W umyśle zalęknionej dziewczyny powstał taki zamęt myśli pro i contra, że kaprys sprowadzenia owego anonimowego konkurenta wydał się jej tak wielką zbrodnią, iż wobec pojęć pułkownika o honorze domu, nie wypadnie jej inaczej, jak ofiarą całego życia odpokutować tę lekkomyślność. Brała ją ogromna chęć wybadania, co też kapitan myśli, i dlatego przez szpary palców spoglądała na niego, pragnąc wyczytać coś z tej pargaminowej twarzy... Ale poważna twarz kapitana, jakby statua wykuta z marmuru, nie mogła jej dać żadnej odpowiedzi. Siedział, zapaliwszy cygaro, i zdawało się, że cała jego myśl utonęła w śledzeniu rozmaitych przekształceń sinich pasków dymu tytoniowego, unoszących się ku sufitowi gabinetu.

Julia udała że płacze — kapitan nadstawił ucha.

— Panno Julio — rzecze nareszcie — po co te desperacje? rozkaz wydany, rzecz skończona...

— A ja nie myślę usłuchać rozkazu — odrzekła dziewczyna, spoglądając na niego z uwagą.

— Co? — spytał, powstając z krzesła.

— To, że wcale nie myślę pójść za pana; ani sobie przypuszczaj kapitan, żebym ja zgodziła się dobrowolnie przyznać go za męża; a spodziewam się, że ani wuj, ani pan przymuszać mię nie będziecie.

— Tu, pani, żadnego niema przymusu, jest rozkaz

i kwita! Zresztą kapitan nie jest tak strasznym, jak panna sobie wyobraża. Znałem ludzi, co w późniejszym daleko wieku brali jeszcze młodsze od panny dziewczęta, a jakoś...

— Powtarzam, że nie chcę...

— Et, mościa panno, w pułku nie tacy byli zuchy, a jak dano rozkaz, musieli... Jakto? Czy jest w świecie kto... słyszy pani, czy jest kto, co by się odważył nie wykonać rozkazu pułkownika? Kulą w łeb i do piechoty! Chę, chę, chę, a któżby szedł dobrowolnie w ogień, hę?... Ginę a idą. Chę, chę, i jak idą, ani mru-mru... Nie miałem ja wprawdzie w mojem życiu wiele do czynienia z kobietami, ale, kochana pani, do kroćset, potrafię jak trzeba... Jestem delikatny... zaręczam, że będę delikatny, ale rozkaz wypełnię... Zegnam zatem panią do jutra... i radzę schować łzy.

— Dziecinny pan jesteś! — odrzekła zirytowana Julia — proszę mię zostawić samą...

Kapitan wyszedł, ukłoniwszy się z powagą, a wesoła twarz Maryni pokazała się z drugich drzwi na lewo.

Nasza pokojówka ubraną już była do podróży. Okryta płaszczykiem, w kapelusiku na głowie i z torebką na ręce, przysła pożegnać panienkę, z którą wychowała się razem od naj pierwszych lat dziecinnych.

— Co to jest, Maryniu? — spytała, przybiegając do niej Julia.

— A cóż, wypędzają mię. Ten stary Piotr stoi nad karkiem, tak, że nie dał mi nawet porządnie złożyć popielatej sukni.

— Maryniu, ty nie pójdziesz ztąd, albo obie pójdziemy razem! Niech się dzieje wola boska, ja uciekam—

— Ale gdzie, panienko? Ja musiałam pogodzić

^się z "Walentym i idę za niego. U kucharzowej tymczasem najął dla mnie stancy ę, i proszę panienki, on nie jest nawet zły człowiek; powiedział mi: Maryniu, ja ci będę ojcem... Jaki delikatny... wie, że nie dostanę posagu.

■— Ach! czemuż ja nie mam nikogo, nikogo na świecie, coby się ujął za mną?!

•— A pan Seweryn? Możeby mu dać znać...

— Nie, nie, nie... wolę umrzeć, niż żebrać o jego miłość, wolę iść za kapitana.

— Ależ, panienko droga—rzecze Marynia—Walenty powiada, że on od trzech dni zupełnie stracił przytomność; tylko siedzi przed biurkiem i patrzy na fotografię panienki i płacze, jak Boga kocham, po całych nocach płacze.

— To czemuż nie przychodzi?... Dumny i ja dumna.

— Kiedyż panienka go odtrąciła; on pewnie nie śmie, ale że kocha panienkę, to ja wiem najlepiej.

— Dlaczegoż Walenty przyszedł do ciebie?

— A, co innego taki tam lokaj, a co innego pan. Nużby go panienka źle przyjęła...

— Zkąd on może wiedzieć, żeby go źle przyjęła co? A jednak żal mi go, uczciwy i zacny człowiek. Dalibóg, zkąd mi się wziął ten szal, ten kaprys, nie mogę dziś pojąć. Nic więcej, tylko ten szafirowy kapelusz - wszystkiego narobił. Odtąd przysięgam, że ani spojrzę na żaden kapelusz w wystawie sklepowej.

W tej chwili dały się słyszeć kroki.

— Czy pan pułkownik przyjmuje? — dał się słyszeć głos mężki ze drzwi prowadzących do przedpokoju.

— Pan Seweryn! — krzyknęła Marynia, wybiegając na prawo.

■— Seweryn! — powtórzyła zmieszana Julia. — Przyjmuje — dodała, wstając z krzesła, i machinalnie poprawiając loczki nad czołem.

— Przepraszam — odzywa się nieśmiało Seweryn — sądziłem, że zastanę samego pułkownika w gabinecie, a że niema nikogo ze służby w przedpokoju....

— Nie potrzebujesz się pan tłumaczyć — mówi prędko Julia,, odzyskawszy przytomność umysłu i wskazując przybyłemu krzesło. — Wuj niedawno powrócił i zapewne zmienia ubranie.

Seweryn usiadł, trzymając oburącz kapelusz przed sobą; panna również usiadła ze spuszczonej oczyma,, drąc zawzięcie jakiś kawałek papieru na coraz drobniejsze części.

Milczenie.

Nareszcie pan Seweryn uczuwając całą drażliwość sytuacji, jako mężczyzna uznał za potrzebne rozpocząć jakąś rozmowę.

— Dowiedziałwszy się, że pułkownik wrócił z zagranicy, chciałem przywitać go i pożegnać.

— Pan wyjeżdżasz?

— Tak, pani, wyjeżdżam na całą zimę.

— Czy wolno zapytać gdzie? bo zapewne nie do siebie na wieś?

— Zgadłaś pani — przemówił, odważywszy się podnieść oczy na Julię — jadę do Włoch...

— Tak daleko i tak wcześnie?...

JH

■— Zawsze marzyłem o zwiedzeniu tej klasycznej ziemi...

— Pan marzysz czasami?

— Dziwi to panią?
— Rzeczywiście, że zadziwia. O ile miałam sposobność poznania pana, liczysz się więc ej do ludzi pozytywnych. Ale prawda, panowie rządzący się wołą, silną męzką wołą, potraficie zapanować nad sobą. Więc kiedy pan odjeżdża?

— Jutro rano.

— Jaka to szkoda, że pan się tak śpieszy. Grdy- by tak pojutrze, miałbyś przyjemność zobaczenia mojego ślubu...

— Nie rozumiem! zawołał żywiej Seweryn, spoglądając na mówiącą panienkę.

— Cóż tak niezrozumiałego? Idę za mąż.

— Za kogo?

— Jest-to mój sekret, ale że idę, daję panu na to słowo honoru.

Śmiały manewr panienki wywołał pożądany skutek. Twarz Seweryna pobladła a w oczach mimo całego usiłowania w zapanowaniu nad sobą, łza się pokazała.

— I pani to nazywasz dla mnie przyjemnością?

— Przyjemnością, połączoną z zasługą...

— Panno Julio — zawoła młody człowiek, zrywając się z krzesła — pani jesteś okrutną! Tak żartowaó z człowieka, który jej nic złego nie zrobił, bez serca...

Julia widząc rozdrażniony stan młodego człowieka, zawahała się nieco, lecz po chwilce namysłu złośliwość kobieca wzięła górę.

— Tak jest, powtarzam: przyjemnością, że pańskie nauki w las nie poszły. Nauczyłam się cenić ważność obowiązków dla społeczeństwa; idę za mąż, wypełniając swój obowiązek...

— Bez miłości?

— Naturalnie, że bez miłości.

— I możesz to pani mówić spokojnie?

— I panować już umiem nad sobą, swojemi uczuciami i kapryсами młodości, jeżeli prawdziwą miłość kaprysem nazwać się godzi... Dla wuja mam obowiązki, jakich córka względem ojca mieć nie może, wuj sobie życzy, i choć serce zamiera, ja spełnić muszę jego wolę... Tak, panie, winnam tę pokorę i poddanie się obowiązkom tylko jego nauce.

— Panna sklepowa przysłała — zawoła Piotr, prowadząc za sobą modniarkę — czy może wejść?

— Właśnie wezwano mię tutaj — rzecze przybyła — dla wzięcia miary na ślubną suknię.

— To dla mnie, dla mnie — odzywa się, wstając Julia — proszę pani do mego pokoju...

— Tylko wątpię, abym mogła ją zrobić na jutro, krótki czas.

— Musi być! — wtrąca Piotr — taki rozkaz pułkownika.

— Tak, tak, moja pani, musi być na godzinę szóstą po południu — powtarza Julia.

— Zegnam pana, panie Sewerynie! — dodała, zwracając się do młodego człowieka. — Szkoda, że pan jedziesz, miałbyś satysfakcyę popatrzeć na ofiarę swojej nauki... Życzę... — dodała ze łzą w oku — życzę... podaj mi pan rękę...

Seweryn nie wiedząc co się z nim dzieje, okrył pocałunkami podaną sobie dłoń Julii, która wysuwając ją powoli, weszła do swego pokoju cała wzruszona.

— A, kochany Seweryn! — dał się słyszeć jedno-

■ _____ j

cześnie głos pułkownika, wchodzącego z drzwi na lewo. — Jak się masz, kochany sąsiedzie!

I porwawszy za obie ręce młodziana, pułkownik ucałował go po trzykroć w głowę.

— Cóż u kroćset, milczysz?... No, widzisz, na twój list lecę jak kula armatnia; jestem, witam, a wasan ani be!... Siadajże i mów, co słycać?

— Źle słycać — odpowiada półgłosem Seweryn.

— Wiem, wiem...

— Najświętsze słowo juz nie ma żadnego znaczenia na świecie.

— I to wiem, wszystko wiem, mój bracie.

— Ale ja o tern nie chcę wiedzieć, panie pułkowniku! — zawoła z całą żywością Seweryn.

— Trudna rada, panie bracie, bywają wypadki.

— Dla takich ludzi, jakim jest pan pułkownik, nie powinno być żadnych wypadków! Komuż dziś dać juz wiare, jezeli nie bohaterom, rycerzom honoru tej wielkiej armii Napoleona?

— Albo co? Albo co? — pyta zaciekawiony pułkownik.

— Pan dałeś mi słowo, że oddajesz mi za żonę siostrzenicę swą pannę Julię...

— No, dałem, do kroćset kartaczy; lecz asan napisałeś mi list do Karlsbadu...

— Ja w tym liście nie zwalniałem pana pułkownika z danego słowa, a pan pomimo woli i chęci swej biednej siostrzenicy, przeznaczasz ją komu innemu! Wiem wszystko, również wiem...

— Ale... — przerywa mu pułkownik.

— Żadne ale! — mówi wciąż podniesionym głosem Seweryn. — Żadna wymówka! Ja trzymam się tego

słowa, i choćby przyszło nowożeńcom przejść po moim trupie, nie pozwolę!

— To mi ferwor, mospanie! — wtrąca stojący wciąż przy drzwiach Piotr, pokręcając węża. — Panie pułkowniku, wypadnie odmówić confirmacyi wyroku.

— Piotrze, poproś kapitana — rzecze pułkownik z całą powagą, tamując wybuch radości, gdy zirytowany Seweryn nie zważając na miejsce, w jakim się znajduje, szerokimi krokami chodzi wzdłuż i wszerz gabinetu.

— Kapitanie! — rzecze pułkownik.

— Jestem na rozkazy.

— Eozkaz dzienny zmieniony. Nieprzyjaciel zmienił front; jutro o godzinie szóstej poprowadzisz do ślubu, jako mój towarzysz i przyjaciel, moją siostrzenicę, Julię. Przedstawiam ci narzeczonego, przyszłego męża Julii, pan Seweryn...

— Ale, miałem być... — odzywa się zakłopotany kapitan.

•— Powtarzam, nieprzyjaciel w osobie oto tego pana, zaatakował z lewego flanku...

— Julio! — mówi do wchodzącej i uśmiechniętej rozkosznie panienci. — Oto twój mąż! Oczy na dół! Komenda: na kolana!

I przejednani narzeczeni, jakoby rzeczywiście na komendę uklękli przed pułkownikiem oboje, a stary całował ich i błogosławił, błogosławił i całował, gdy gęste łzy padały na głowy naręczonych.

— Kapitanie, głupia sprawa! — zawołał, spojrzawszy na niego i na Piotra — płaczemy, co? Do milion kartaczów, jużemy zbabili, co?

— Tak, pułkowniku, zbabiliśmy... prawda...

— A delikwentki? — spytał Piotr, salutując pułkownika.

— Ot, widzisz, zapomniałem o tych rekrutach... Żle, mój Piotrze, coraz więcej się zapominam. Co to będzie na starość, kapitanie, he? Sprowadzić je tutaj!

Ciotka Jadwiga z fartuchem za pasem i Marynia w płaszczyku do podróży, pokazują się we drzwiach; za nimi staje wyprostowany po żołniersku Walenty.

— Skazanych ułaskawiono. Jejmość powracasz do używania wszelkich praw służby.

— A jejmościanka... — ciągnął pułkownik, zwracając się do pokojówki — pójdzno tu bliżej, ty, ty, ma-kolągwo jakaś. No, Walenty, trzy kroki naprzód, marsz! równaj się, na kolana! bierz ją jak swoją i pilnuj, mówię ci, pilnuj, bo jej źle z oczu patrzy...

— Panie pułkowniku, jeszcze o jedną łaskę proszę — występuje uszczęśliwiony Seweryn.

— Słuchamy!

— Pozwól, niech w braku mej matki rodzonej, obowiązek prowadzenia mię do ślubu wypełni ciocia

Jadwiga.

— Rany boskie!—krzyknie staruszka—tyle łaski!...

— Postanowiono — skonkludował kapitan.

— Jedziemy więc na wieś, Sewerynie; nieprawdaż, że nie pojedziesz do Włoch?

— Jedziemy razem, moja ukochana, jedziemy do tej boskiej Italii, gdzie niebo stworzone tylko dla ko-chanków...

— Jaby m wolala na wieś...

— Nie, moja droga, młodość potrzebuje życia, wiosny, kwiatów, rozkoszy... wesela! Jeszcze czas na nudy wiejskie.

— A obowiązki? — pyta filuternie Julia.

— To jest mój obowiązek! — zawoła Seweryn, całując z największą rozkoszą różane usteczka panienki.— To są dziś moje obowiązki!!

Kraków, 4 października 1876 r.